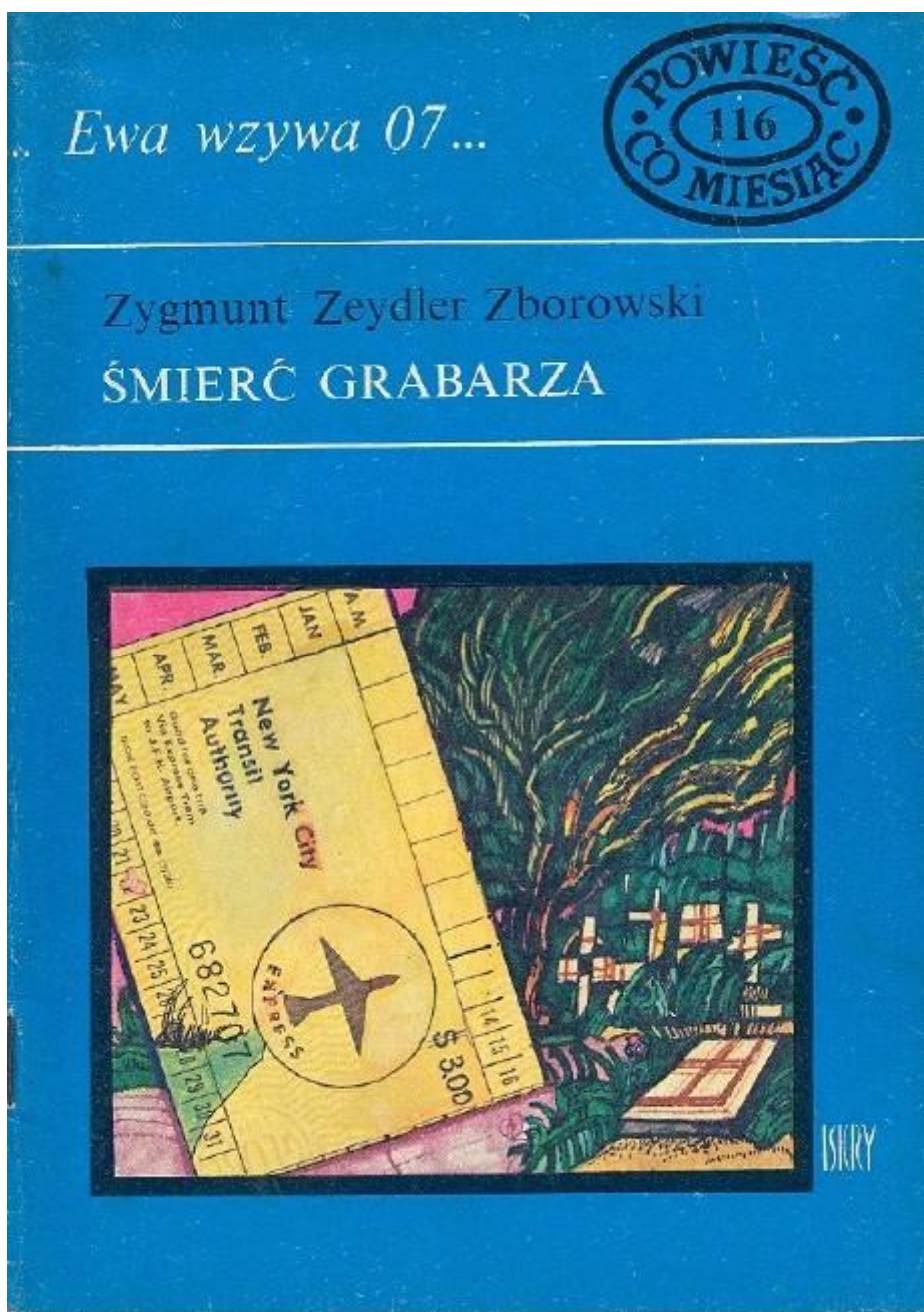


Ewa wzywa 07.. Ewa wzywa 07...

Zygmunt Zeydler Zborowski Śmierć grabarza



Rozdział I

Błoto... Gęste, kleiste, hamujące każdy krok, każde stąpięcie. Nogi zapadają w lepkiej, szarobrunatnej brei. Gdzieś między grobami bielą się resztki topniejącego śniegu. Północny wiatr w gwałtownych porywach potrząsa bezlitośnie gałęziami drzew.

Żałobny kondukt posuwa się wolno w kierunku oczekującego grobu. Podniesione kołnierze, ręce głęboko wepchnięte w kieszenie płaszczy, zakatarzone twarze. Trudno odgadnąć, co większą melancholią napawa uczestników smutnego obrządku — odejście kogoś bliskiego czy fatalna pogoda. Wysoki, kościsty ksiądz o posepnym spojrzeniu zręcznie przeskakuje kałuże. Zna dobrze teren.

I nagle... przeraźliwy kobiecy krzyk:

— O Boże! Tam...! Tam...!

Zatrzymują się. Wszystkie oczy zwracają się we wskazanym kierunku.

Ciemny, podłużny kształt ma w sobie coś groteskowo nierealnego. Podobny do szmacianej lalki, kołysanej podmuchami wiatru. W pobliżu leży przewrócona ławka, pomalowana zieloną farbą. Ktoś śmieje się histerycznie.

* *

*

Ze zidentyfikowaniem zwłok nie było trudności. Walenty Kosiński — grabarz. Ostrożnie zdjęto ciało z gałęzi.

— Uważajcie na pętlę — upominał porucznik Koźlak. — Tamtą drugą gałąź odetnijcie razem ze sznurkiem. Nie ruszajcie węzła.

Niebawem przyjechał kapitan Wadzewski i zabrali się do dokładnego zbadania terenu.

Butelka po wódce, nie rozpieczętowana paczka „sportów”, kawałek grubego, mocnego sznurka — to wszystko. Ślady stóp na mokrych, gnijących liściach były bardzo niewyraźne. Całą noc padał deszcz ze śniegiem.

— Samobójstwo — powiedział lekarz. Nikł mu jednak nie przytaknął. Oficerowie w dalszym ciągu uważnie rozglądali się dookoła, rozszerzając swoją działalność i na sąsiednie groby.

Koźlak zręcznie wdrapał się na drzewo, z którego przed chwilą zdjęto grabarza, i dokładnie obejrzał gałąź.

— I co? — spytał Wadzewski.

— Wydaje mi się, że trochę za głębokie obtarcie, a poza tym ta krótka pętla...

Kapitan pokiwał głową.

— Właśnie: Pętla podejrzanie krótka. Widziałeś ślady kory na końcu sznura?

— Widziałem. Można by wobec tego zaryzykować hipotezę, że ktoś go wciągał.

— To niewykluczone — Wadzewski jeszcze raz obejrzał zwłoki. — Siady na przegubach rąk — mruknał. — I te krwawe nacieki na szyi. Przed powieszeniem jeszcze żył. Więc samobójstwo także musimy brać pod uwagę, chociaż...

— Zobaczmy, co wykaże sekcja zwłok — powiedział porucznik. — Na razie chyba przespacerujemy się do zarządu cmentarza.

— Właśnie mam ten zamiar.

* *

Urzędnik miał melancholijny wyraz twarzy, jak przysłało na człowieka opiekującego się miejscem wiecznego spoczynku. Przed chwilą skończył jeść śniadanie i zaostrzoną zapałką dyskretnie dłubał w zębach. Tragiczna śmierć grabarza nic wywarła na nim większego wrażenia— Od dawna przywykł* do tego, że ktoś kończył życie, a czy następowało to we własnym łóżku, czy też na gałęzi drzewa to właściwie było wszystko jedno.

— Walenty Kosiński...

— Zmarły właśnie tak się nazywał — przytaknął Wadzewski.

— Powiedziano mi, że się powiesił. Ja się takim; sprawami nie zajmuję. To nie mój dział. Kolega Marecki...

— Pan znał zmarłego.

— Oczywiście. Znam ich wszystkich,

— Chcielibyśmy się czegoś o nim od pana dowiedzieć.

— No cóż... Grabarz jak grabarz — padła niezbyt wyczerpująca odpowiedź.

Wadzewski nie zraził się.

— Może mógłby pan jakoś trochę obszerniej scharakteryzować Walentego Kosińskiego.

Urzędnik zdjął okulary i starannie zaczął przecierać szkła świeżo wyprasowaną chusteczką. Jego niebieskie, wyblakłe oczy były teraz lekko zamglone.

— Nie bardzo wiem, o co panom chodzi. Co właściwie mam opowiedzieć o Kosińskim?

— Jakie miał usposobienie, jakie przyzwyczajenia, jakie nałogi, z kim przestawał. No, po prostu krótka charakterystyka. Interesują nas oczywiście najbardziej istotne fakty.

Okulary wróciły na dawne miejsce. Ich właściciel spojrzał uważniej na swego rozmówcę.

— Podejrzewają panowie, że Koliński został zamordowany?

— Musimy przeanalizować wszystkie możliwe ewentualności — — odparł wymijająco Wadzewski. — No więc... co nam pan powie o denacie?

— To był człowiek bardzo skryty, mało komunikatywny. O ile mi wiadomo, z nikim nie trzymał bliższych kontaktów. Nigdy też nie mówił o sobie ani o swoich sprawach.

— Pił?

Urzędnik wzruszył ramionami.

— Jak każdy.

— To znaczy...?

— Normalnie. Pił, ale żeby go można było nazwać nałogowym alkoholikiem, to chyba nie.

— Miał jakąś rodzinę?

— O ile mi wiadomo, miał kuzyna, ciotecznego brata.

— Zna pan może adres tego kuzyna?

— Tak. Kosiński kiedyś podał mi to nazwisko i adres. Prosił, żeby w razie jego śmierci zawiadomić...

— Więc jednak myślał o śmierci. Urzędnik uśmiechnął się melancholijnie.

— No, cóż... Chyba każdy z nas od czasu do czasu myśli o śmierci, szczególnie w pewnym wieku. Kosiński to był w ogóle dziwny człowiek.

— Dlaczego dziwny?

— Podobno miał wyższe wykształcenie. A grabarz z wyższym wykształceniem... Powiadają, że żadna praca nic hańbi. ale... Czasami zdarzało mi się z nim porozmawiać. Rzeczywiście wysławiał się jak człowiek wykształcony. Początkowo trochę mnie to dziwiło, intrygowało...

— Interesujące — przyznał Wadzewski. — Czy mógłby mi pan dać nazwisko i adres ciotecznego brata Kosińskiego?

Urzędnik skinął głową.

— Tak. Gdzieś zanotowałem.

Podniósł się ociężale ze swego krzesła i podszedł do wysłużonej, pokrytej plamami szafy. Przez chwilę grzebał między skoroszytami, segregatorami i tekturowymi teczkami. Wreszcie wrócił, niosąc grubą książkę adresową. Flegma tycznie zaczął przewracać wypełnione starannym pismem kartki.

— No i co? — zniecierpliwiał się Wadzewski.

— Zaraz, zaraz, momencik. Przecież się nie pali. Co nagle, to po diable. O, jest — długi palec, zakończony niezbyt czystym paznokciem, mocno nacisnął nieco pożąłką stronicę. — Byłem pewien, że zapisałem. Pamięć to ja jeszcze mam bardzo dobrą. Konstanty Garbiszewski. Mieszka w Zalesiu Górnym, we własnej willi. Dobrze, że mi pan przypomniał. Muszę zaraz do niego napisać. A może zatelefonuję... Mam tu i numer telefonu.

Rozmowy przeprowadzone z innymi urzędnikami zarządu cementarza oraz z personelem pomocniczym potwierdziły to, co powiedział ów referent, obdarzony „bardzo dobrą pamięcią”. Grabarz, który najczęściej pracował z Kosińskim, podrapał się w głowę.

— Walek? A cóż tu można o nim powiedzieć? Smutny był facet. Nie do życia. Nie można z nim było ani pogadać, ani popić, jak należy. Odzywał się do człowieka jak z łaski. W robocie, nie powiem, akuratny był. Punktualny. Ale tak w ogóle to nie dał się lubić. Z ludźmi trzeba żyć, a nie tak ciągle sam i sam.

— Piliście z nim?

— Jakie tam picie? Koń by się uśmieł. Owszem, czasami dziabnął sobie setę albo i dwie i na tym koniec. Pijanym to go chyba nigdy nikt nie widział.

— To powiadacie, że ludzie go nie lubili.

— Ani tak, ani nie. Po prostu nikt się z nim nie kumpłował. bo nie było sposobu. Ale specjalnej pretensji nikt do niego nie miał. Nie słyszałem, żeby komu krzywdę zrobił. Dziwak był i tyle. Trochę chyba szurnięty. Ja to nawet nie bardzo się dziwię, że się powiesił.

— Mówił coś kiedyś na ten temat? Może wam się zmierzał, że mu życie zbrzydło?

— Nie. On w ogóle prawie nie rozmawiał.

— Z tego, co mówicie, wynika, że wrogów tutaj między wami nie miał.

— Skądże. Powiedziałem już przecież, że nikt nie miał do niego żadnej pretensji. Bo niby o co? Wszyscy uważali, że facet ciut szmerglowy, ale tak nieszkodliwie.

— Zdaje się, że nie był żonaty. Grabarz roześmiał się.

— Żonaty? A gdzie jemu było do żony? Jaka kobieta wytrzymałaby z takim mrukiem! Zresztą nie wiem... Może jak był młody... Trzy lata brakowało mu do emerytury i wziął się i powiesił, Jak to czasem człowiekowi coś tam odbije. Kto by się spodziewał.

* *

*

Duży pokój z kuchnią. Spodziewali się zastać niechlujne, brudne pomieszczenie, noszące ślady wieloletniego zaniedbania. Tymczasem mieszkanie utrzymane było we wzorowym, a nawet pedantycznym porządku. Ściany świeżo odmalowane, podłoga starannie wyfroterowana, okna umyte, kurze w każdym zakamarku dokładnie starte, łazienka i zlew w kuchni błyszczące czystością. Słowem — wzór do naśladowania dla najbardziej wymagającej gospodyni.

Koźlak spojrzął na Wadzewskiego, a Wadzewski na Koźlaka.

— Coś podobnego! — powiedzieli prawie jednocześnie.

Zaintrygowani, podszli do półek, zastawionych książkami. Wznosiły się nieomal do sufitu. Grube tomy o tematyce historycznej, prawniczej oraz religijnej. Żywoty świętych, dzieła filozoficzne, kodeksy karne, a nawet jakieś starodruki. Wszystko to pieczołowicie wytarte z kurzu i równiutko poustawiane.

Kociak wszedł na drabinkę i przyjrzał się książkom stojącym na wyższych półkach.

— Wyobraź sobie, że w językach obcych! — wykrzyknął zdumiony. — Angielskie, francuskie, niemieckie.

Wadzewski, zupełnie oszołomiony, kręcił głową z niedowierzaniem.

— Cóż to był za grabarz, u licha. Jakiś naukowiec, nic grabarz. Nic z tego nie rozumiem.

Koźlak zszedł z drabiny.

— Są i słowniki, i encyklopedie — powiedział. — A przyjrzyj się tym malowidłom. Ja się specjalnie nie znam, ale chyba to coś warte. Jak w muzeum.

Rzeczywiście, pozostałe ściany zawieszono były starymi obrazami o tematyce religijnej. Wadzewski zaczął się im uważnie przypatrywać.

— Ja także w tej branży nie jestem fachowcem, ale jeżeli to oryginały, stanowią majątek. Skąd ten facet zdobył takie rzeczy? Niesamowite, zupełnie niesamowite! Żeby prosty grabarz... Trzeba to wszystko zabezpieczyć. Musimy natychmiast skontaktować się z jego kuzynem.

W szufladach dużego, masywnego biurka leżały, całe stosy czasopism o treści religijnej, książki do nabożeństwa, modlitwy zanotowane na luźnych—kartkach, stare kalendarze. Uwagę zwracała wypchana, lekturowa teczka, zawierająca rękopis. Przeszło trzysta stron, gęsto zapisanych drobnym, starannym pismem. Tytuł: „Najpodlejsi grzesznicy — hieny cmentarne”.

Wadzewski z dużym zainteresowaniem zaczął przeglądać rękopis.

— To już jest coś — mruknął, zmarszczywszy brwi. — To już jest jakieś zaczepienie.

Koźlak spojrzął zdziwiony.

— Nie rozumiem.

— Nic nie szkodzi. Zrozumiesz, jak będziesz starszy — uśmiechnął się Wadzewski. — Chodź. Rzucimy okiem na jego garderobę.

W szafie, w przedpokoju panował tak jak wszędzie wzorowy porządek. Oprócz bielizny i paru zupełnie przyzwoitych ubrań, znaleźli dwa habity franciszkańskie, trzy siwe brody i wszystkie przybory potrzebne do charakteryzacji.

— Wygląda na to, że nasz grabarz prowadził podwójne życie — uśmiechnął się Koźlak.

— I chyba masz rację — przytaknął Wadzewski. — Po jakiego licha charakteryzował się? Co się za tym kryje?

— Może to grzebanie umarłych było tylko zręcznym kamuflażem? — zasugerował porucznik. — Może facet organizował jakieś większe „skoki”?

Wadzewski pokręcił głową.

— Nie bardzo mi to pasuje. Te książki... Zresztą całe mieszkanie nie robi wrażenia siedziby jakiegoś bandziora.

— Warto by sprawdzić, czy nie miał solidnie zaopatrzonego konta „A”. Może jakieś dewizowe kombinacje? — nie ustępował Koźlak.

— I pisałby pracę na temat hien cmentarnych?

— Mógł mieć takie hobby.

Wadzewski machnął ręką niecierpliwie. Nie lubił rozmawiać o hipotezach, nic opartych na żadnych konkretnych faktach. Natura obdarzyła go trzeźwym umysłem i nie był skłonny do fantazjowania.

Raz jeszcze dokładnie przeszukali całe mieszkanie, zaglądając do każdej szufladki, do każdego kąta. Nic jednak specjalnie interesującego już nic znaleźli, nic, co by mogło rzucić trochę światła na tajemniczą postać Tragicznie zmarłego grabarza.

* *

*

Wadzewski zatrzymał swoją „Zastawę” przed furtką, sporządzoną z grubych, żelaznych prętów, zakończonych jak strzały ostrymi grotami. Po obu stronach furtki biegł wysoki żywopłot, przyprószone resztkami topniejącego śniegu. W głębi widać było duże, rozłożyste drzewa, a poprzez bezlistne gałęzie można było dojrzeć jednopiętrowy dom. Wadzewski nacisnął ozdobną klamkę z kutego, żelaza i wszedł. Na jego spotkanie wybiegł ogromny wilczur Usposobiony był życzliwie. Przyjaźnie pomachał ogonem i pozwolił się poklepać po kudłatym łbie.

Kilka kamiennych schodków prowadziło na oszklony ganek. I tutaj także drzwi nie były zamknięte na klucz. Wadzewski cofnął się, wytarł dokładnie buty o grubą słomiankę i zadzwonił. Nie chciał wchodzić tak niespodziewanie do cudzego mieszkania.

Po chwili pojawiła się młoda, ładna dziewczyna. Miała gęste jasne włosy i niebieskie oczy o nieco figlarnym spojrzeniu.

— Pan do kogo?

Wadzewski był po cywilnemu. Uchylił kapelusza.

— Przepraszam. Czy zastałem pana Garbiszewskiego?

Dziewczyna zawahała się.

— Tak... To znaczy... A można wiedzieć, w jakiej pan sprawie?

— Moje nazwisko Wadzewski, kapitan Wadzewski. Jestem z komendy milicji. Proszę powiedzieć panu Garbiszewskiemu, że chciałbym z nim pomówić.

Spłoszyła się. Figlarny uśmiech błyskawicznie zniknął z jej twarzy.

— Oczywiście, proszę pana — powiedziała skwapliwie i zniknęła.

Wadzewski powiesił płaszcz i kapelusz i wszedł do obszernego hallu. Rozejrzał się. Na ścianach cenne tkaniny, stare sztychy, nad kominkiem rogi jelenia. Obok kanapka i dwa zabytkowe fotele, wyglądające tak, jakby przed chwilą zostały przywiezione z „Desy”.

Skrzypnęła podłoga. Wadzewski odwrócił się. Zobaczył wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę w średnim wieku. Twarz pociągła, śniada wyrażała zdecydowanie i energię. Gęsta, falująca czupryna była już lekko szpakowata. Ciemne, trochę wypukłe oczy błyszcząły młodzieńczo.

— Powiadomiono mnie, że pan pragnie się ze mną zobaczyć. — Słowa te zostały wypowiedziane niskim, miękkim głosem o przyjemnym tembrze.

Wadzewski przedstawił się, pokazał legitymację służbową i wyjaśnił cel swojej wizyty. ?

— Nie chciałem fatygować pana do nas, do komendy i dlatego pozwoliłem sobie pana odwiedzić.

Skinienie głową oraz uprzejmy uśmiech były odpowiedzią na te słowa.

— Bardzo to miło z pańskiej strony. Może przejdziemy do biblioteki. Tam nam nikt nie będzie przeszkadzał.

Ciężkie, rzeźbione szafy pełne książek, stolik do gry w karty, wyściełane krzesła, fotele. Na podłodze duży, puszysty dywan, tłumiący kroki—

Garbiszewski wykonał zapraszający gest.

— Proszę, niech pan siada, panie kapitanie. Ma pan ochotę na odrobinę jakiegoś alkoholu?

Wadzewski podziękował i wyjął papierosy.

— Pozwoli pan, że zapalę.

— Ależ oczywiście. Bardzo proszę.

Weszła niebieskooka dziewczyna, niosąc na tacy kawę, filiżanki, cukiernicę i kruche ciasteczka, ułożone starannie na srebrnej paterze.

— Dziękuję, Marcysiu — Garbiszewski odprawił dziewczynę ruchem głowy i zwrócił się do swego gościa: — Ale filiżanki kawy pan nie odmów, prawda?

— No... jeżeli pan tak nalega...

Znowu ten sam, konwencjonalnie, uprzejmy uśmiech.

— Dobra kawa jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziła. — Napełnił filiżanki i otworzył cukiernicę. — Proszę.

Wadzewski zauważył, że jego gospodarz porusza się zgrabnie i sprężysto, jak człowiek dbający o swą kondycję fizyczną.

— O ile mi wiadomo, pan jest architektem.

— Tak, jestem architektem. Dlaczego to pana interesuje?

— Po prostu .nie wiedziałem, jak mam pana tytułować: inżynier, doktor, mecenas...

Garbiszewski roześmiał się, ukazując trochę podejrzenie równe i nieskazitelnie białe zęby.

— Mogę pana zapewnić, że nie cierpię na tytułomanię. To jest w naszym kraju bardzo rozpowszechnione, ale...

— Chyba w innych krajach także ludzie lubią się nawzajem tytułować — zauważył Wadzewski.

— Być może, być może — Garbiszewski wysypał cukier do filiżanki i z pedantyczną starannością mieszał kawę łyżeczką. — Pan zapewne w sprawie mojego brata.

— Walenty Kosiński był pańskim bratem?

— To znaczy... ciotecznym bratem. Nasze matki były siostrami. Biedny Walek. No, cóż... To się musiało tak skończyć.

— Dlaczego pan tak uważa? Garbiszewski uśmiechnął się smutnie.

— To wszystko nie jest takie proste. Będę z panem zupełnie szczery. Mój brat nie był normalny. Właściwie od dawna obawiałem się, że stanie się to, co się stało, że odbierze sobie życie. Robiłem wszystko, co było w mojej mocy, żeby zorganizował sobie jakąś sensowną egzystencję, żeby robił coś, co odpowiadałoby jego pozycji społecznej, jego wykształceniu. Na próżno. Uparł się, że będzie grabarzem, że resztę życia spędzi wśród grobów, wśród umarłych.

— Czy znane są panu powody takiej decyzji? — spytał Wadzewski.

— Te obsesyjne stany zaczęły się od śmierci jego żony. Bardzo ją kochał, ubóstwiał. Była dla niego wszystkim. Ta wielka miłość spowodowała, że opuścił mury klasztorne.

— To pański brat był zakonnikiem?

— Tak Początkowo skończył prawo i nawet zapowiadał się na zdolnego adwokata. Byłem przekonany, że wybije się w tej dziedzinie. I nagle... zupełnie niespodziewanie postanowił wstąpić do klasztoru. Wiele razy pytałem go, dlaczego? Nie chciał mówić na ten temat Dawne czasy. Czy muszę panu o tym wszystkim opowiadać, panie kapitanie?

— To mnie bardzo interesuje. Jeżeli pan taki uprzejmy, chętnie dowiem się pewnych szczegółów z życia pańskiego brata.

Garbiszewski westchnął. Ciemne oczy zasnuły się zadumą. Przechylił się do tyłu i oparty o poręcz fotela zapatrzył się w jakiś punkt ponad głową swojego gościa. Robił wrażenie człowieka, który usiłuje odtworzyć obrazy z przeszłości.

— Dawne czasy — powtórzył. — Bardzo dawne czasy. Pamiętam Walentego w zakonnym habicie. Przyznać muszę, że wyglądał efektownie. Miał w sobie coś ze średniowiecznej ascezy. Zapuścił brodę... Potem... Właściwie nie wiem, kiedy i w jakich okolicznościach poznał Lizę, swoją przyszłą żonę. Zakochał się, a ona w nim. To była wielka miłość, jaka chyba w dzisiejszych czasach już się nie zdarza. Wystąpił z klasztoru, zrzucił habit i ożenił się. Niestety, szczęście ich trwało krótko. Liza umarła w dwa lata po ślubie. Zapalenie opon mózgowych. Jakiś złośliwy wirus. Walenty wyprawił jej wspaniały pogrzeb. Do trumny włożył biżuterię, przeróżne kosztowne drobiazgi, które odziedziczył po swojej matce. Kazał postawić pomnik. Codziennie przychodził na cmentarz z kwiatami. I nagle...

— I nagle...? — podchwycił Wadzewski.

— Proszę sobie wyobrazić, że pewnego dnia Walenty zastał grób swojej żony splądrowany, a zwłoki zbezczeszczone. Oszalał. Zawsze zdradzał pewne, nazwijmy to fachowo, odchylenia od normy, ale po tym, co się stało, chyba zupełnie postradał zmysły.

Wadzewski pokiwał głową.

— Rozumiem. To było dla niego straszne przeżycie.

— Tak. To było straszne przeżycie. I wtedy Walenty postanowił zostać grabarzem i wypowiedzieć wojnę hienom cmentarnym. Wbił sobie do głowy, że to właśnie jest jego powołaniem życiowym. Nie pomogły żadne perswazje, żadne tłumaczenia, namowy. Nie było sposobu, żeby zmienić jego decyzję. Z całą stanowczością oświadczył mi, że do końca życia będzie grabarzem, że będzie grzebał zmarłych i pilnował ich grobów. Byłem bezsilny. Ale po co właściwie ja to wszystko panu opowiadam? To są takie rodzinne sprawy, bardzo intymne. Tak mi się jakoś zebrało na szczerość. Sam nie wiem...

— Jestem panu niezmiernie wdzięczny za taką szczerą rozmowę — powiedział Wadzewski — To, co usłyszałem, niezmiernie mnie zainteresowało.

Garbiszewski wypił zupełnie już zimną kawę.

— Przyznam się, że nie bardzo rozumiem, dlaczego interesuje się pan moim bratem. Smutne, biedak, miał życie, które zakończył samobójstwem i właściwie sprawa została zamknięta. Nie ma o czym mówić.

Wadzewski zapalił papierem i zaciągnął się dymem.

— Widzi pan, panie inżynierze... to nie jest takie proste. Sprawa, jak pan to określił, nie została zamknięta.

Garbiszewski nważnie spojrzał na swojego rozmówce.

— Nie rozumiem. Co pan chce przez to powiedzieć?

Istnieje ogromne prawdopodobieństwo, że to nie było samobójstwo, że Walenty Kosiński wstał zamordowany.

— Zamordowany?!

— Tak. Czekam jeszcze na wyniki sekcji zwłok, ale już w tej chwili na dziewięćdziesiąt pięć procent mam pewność, że pański brat nie popełnił samobójstwa. Właśnie dlatego z takim zainteresowaniem słuchałem opowiadania o jego życiu.

— Ależ któż mógłby pragnąć jego śmierci?

— Otóż to. Któż mógłby pragnąć jego śmierci? — powtórzył Wadzewski. — Przychodząc tutaj miałem nadzieję, że pan pomoże mi rozwiązać tę zagadkę.

Garbiszewski rozłożył ręce.

— No, cóż ja...? Właściwie... Zaraz... zaraz... chwileczkę. Walenty musiał być człowiekiem bardzo niewygodnym dla tych, którzy ograbiają groby, dla hien cmentarnych.

— To nie ulega wątpliwości — przyznał Wadzewski. — Czy pan się nie orientuje, jak właściwie wyglądała jego walka z tymi przestępcami?

— Nie mam pojęcia. Prawdę mówiąc od lat nie utrzymywałem żadnych kontaktów z Walentym. Przypuszczam jednak, że albo sam się z nimi rozprawił, albo dawał znać milicji. Niewykluczone, że po wyjściu z więzienia postanowili się na nim zemścić. Jeżeli, oczywiście, podejrzewa pan morderstwo.

— Tak. Podejrzewam morderstwo. Hieny cmentarne... Trzeba będzie to sprawdzić. Pana rozumowanie wydaje mi się logiczne.

— Cieszyłbym się, gdybym mógł w jakikolwiek sposób przyczynić się do wykrycia morderców mego brata. Wprawdzie nie stworzył sobie zbyt miłej egzystencji, ale przecież każdy chce żyć.

Bez pukania weszła niebieskooka dziewczyna. Uśmiechnęła się.

— Pani wróciła już z kościoła. Pyta, czy pan ma bilety do teatru.

Garbiszewski skinął głową.

— Tak. Proszę powiedzieć pani, żeby się przygotowała. Zaraz jedziemy. — A kiedy pokojówka wybiegła z pokoju, zwrócił się do swego gościa: — To nowy nabytek mojej żony. Jeszcze zupełnie surowa. W żaden sposób nie mogę jej nauczyć, żeby pukała do drzwi. Mieliliśmy bardzo dobrą, wykwalifikowaną gosposię, ale już była w podeszłym wieku. Nie dawała sobie rady. Wadzewski wstał.

— Słyszałem, że pan się śpieszy do teatru. Nie będę więc zajmował czasu. Dziękuję za rozmowę. Bardzo dużo skorzystałem. — Pożegnał się z ciotecznym bratem zmarłego grabarza i wyszedł.

W hallu minął się z bardzo piękną kobietą, która spojrzała na niego z zainteresowaniem ogromnymi, płonącymi niezwykle blaskiem oczami. Spojrzenie to było tak natarczywe, że trochę się speszył. Ukłonił się niezręcznie.

* *

*

Sekcja zwłok wykazała znaczny procent alkoholu w organizmie denata, a oprócz tego stwierdzono obecność środków oszalamiających. Teraz już nie było wątpliwości. Walenty Kosiński został zamordowany. Naprzód napojono go odpowiednio spreparowaną wódką, a następnie — jeszcze żyjącego — powieszono. Mordercy liczyli najwidoczniej na to, że śmierć grabarza będzie potraktowana jako samobójstwo.

Koźlak wzruszył ramionami.

— Naiwne rozumowanie. Co oni sobie wyobrażali, że nie przeprowadzimy sekcji? Frajerzy.

Wadzewski nie od razu zareagował na te słowa. Dopiero po chwili powiedział zamyślony:

— Kto wie? Może nie tacy frajerzy, jak nam się wydaje.

— Nie rozumiem.

— Mniejsza z tym. Rozmawiałem z ciotecznym bratem Kosińskiego, z tym architektem, Garbiszewskim.

— No, właśnie. Miałeś pojechać do niego. No i jak się udało?

— Solidnie nadziany facet. Luksusowa willa. Urocza pokojówka, piękna, pobożna żona.

— Pobożna?

— Wyobraź sobie, że tak. Kiedy tam byłem, właśnie wróciła z nabożeństwa.

— Zależy, z jakiego nabożeństwa — uśmiechnął się porucznik. — Bo różnie to bywa.

— Masz rację — przytaknął Wadzewski. — Różnie to bywa. Muszę przyznać, że żona tego Garbiszewskiego nie wygląda na dewotkę.

— No widzisz. Ale może byś mi coś niecoś opowiedział o tej twojej wizycie w luksusowej willi.

Wadzewski w krótkich słowach streścił swoją rozmowę z bogatym architektem. 'Koźlak słuchał z dużym zainteresowaniem.

— Trzeba przyznać, że zdobyłeś sporo informacji o tym grabarzu. Hipoteza, że wykończyły go hieny cmentarne, brzmi przekonująco.

Wadzewski pokiwał głową.

— Tak. To rzeczywiście trzyma się kupy Zemsta jest tu bardzo prawdopodobna— A dla tego typu ludzi, jeżeli w ogóle można ich nazwać ludźmi, nie jest żadnym problemem zamordować kogoś. Musimy sprawdzić, którzy z nich zostali ostatnio zwolnieni i czy rzeczywiście za sprawą Kosińskiego dostali się do pudła.

— Sądysz, że Kosińskiego powielił jeden człowiek? Czy też miał współnika?

— Trudno powiedzieć. Mógł to oczywiście zrobić jeden, ale musiałby się solidnie napracować.

—Koniec sznura był przywiązany do nisko rosnącej gałęzi sąsiedniego drzewa. Nie wiem, czy zwróciłeś uwagę na węzeł.

— Tak. Węzeł stosowany przez marynarzy. Nie musi to oczywiście o niczym świadczyć, ale w pewnych okolicznościach może nam posłużyć jako poszlaka. Poza tym sznur został mocno otarty o gałąź, ślady kory.

— A prócz tego znaczne wgłębienie na gałęzi — uzupełnił porucznik. — Z tego można by właściwie wnioskować, że morderca wciągał swoją ofiarę na gałąź.

— Słusznie — zgodził się Wadzewski. — Rozumowanie chyba prawidłowe. Mogli, oczywiście, ciągnąć go we dwóch. Kosiński był roslym mężczyzną.

— Ale chudym — zauważył Koźlak. — Nie ważył więcej jak siedemdziesiąt parę kilo. Jeden krzepki facet mógł go wciągnąć.

Wadzewski zamyślił się.

— Zastanawia mnie tylko to, że Kosiński pił z kimś wódkę — powiedział po chwili. — Z tego, co dotychczas zdołaliśmy się o nim dowiedzieć, wynika, że to był odludek, unikał towarzystwa, nie miał przyjaciół, właściwie z nikim się nie zadawał, nawet z kuzynem się nie widywał. I jeszcze jedna sprawa. Jeżeli pił z kimś, a wódka była doprawiona jakimiś środkami odurzającymi, to jego kompan także powinien był ulec zatruciu, czasowemu oszołomieniu, a to w żadnym wypadku, nie leżało w jego interesie.

— Może miał drugą butelkę ze zwykłą wódką i zgrabnie ją zonglował? — zasugerował Koźlak. — A może po prostu dał Kosińskiemu pół litra w prezencie i wcale z nim nie pił?

Wadzewski machnął ręką.

— Mniejsza z tym. To w tej chwili nie takie istotne Sądzę, że musimy zacząć naszą działalność od poszukiwania hien cmentarnych. Nie jest to zachwycające zajęcie, ale w tej sytuacji nic mamy innego wyjścia.

* *

*

Przestudiowanie akt sądowych oraz rejestrów więziennych zabrało im sporo czasu. Praca ta jednak dała pewne konkretne rezultaty. Zdołali ustalić, że w połowie listopada zwolniono z więzienia trzech złodziei cmentarnych, którzy wspólnie uprawiali swój haniebny proceder i których sąd skazał na osiem lat pozbawienia wolności. Nazwiska: Marian Wyłka, Eugeniusz Małecki, Zenon Waciaszek.

Wadzewski nie poprzestał jednak na tych informacjach. Postanowił zbadać, w jakich okolicznościach ludzie ci zostali swego czasu ujęci przez milicję.

I znowu szperanie w aktach milicyjnych. Okazało się, że wszyscy trzej zostali zatrzymani na cmentarzu na skutek anonimowego donosu, który wtedy wpłynął do komendy i zawierał dokładne dane. Wadzewski natychmiast porównał pismo z rękopisem znalezionym w mieszkaniu grabarza intelektualisty. Nie ulegało wątpliwości. Autorem anonimu był Walenty Kosiński. Czy ci trzej wiedzieli o tym, trudno odgadnąć. Jeżeli Kosiński był znany jako zajadły wróg hien cmentarnych, mogli się domyślać, że ich sypnął.

Wadzewski postanowił przeprowadzić przesłuchania w obecności Koźlaka. Całe życie hołdował zasadzie, że co dwie głowy, to nie jedna. Swego współpracownika cenił jako człowieka inteligentnego, bystrego, obdarzonego przez naturę szybkim refleksem i spostrzegawczością.

Na pierwszy ogień zabrali się do Mariana Wyłki.

Wadzewski był trochę zaskoczony. Łysy grubasek o łagodnym spojrzeniu ciemnych, okrągłych oczu w żaden sposób nie pasował do roli hieny cmentarnej. Można go było raczej wziąć za poczciwego producenta ciastek lub też za damskiego fryzjera.

— Siadajcie.

Marian Wyłka usiadł i uśmiechnął się życzliwie. Usiłował zachowywać się z jak największą swobodą, ale w jego oczach łatwo było wyczytać niepokój. Nie wytrzymał przedłużającego się milczenia i odezwał się pierwszy.

— Ja, panie naczelniku, z tymi sprawami zerwałem. Raz na zawsze!

— Odbyliście karę więzienia za obrabowywanie grobów wspólnie z Eugeniuszem Małeckim i Zenonem Waciaszkim.

— To było nieporozumienie.

— Jak wynika z akt sądowych, schwytano was na gorącym uczynku.

— Miałem pecha, panie naczelniku. Właśnie chciałem im wyperswadować, żeby tego nie robili, kiedy przysłała milicja. Zabrali mnie razem z nimi. Nie uwierzyli, że byłem niewinny.

— Znaliście Walentego Kosińskiego? — spytał Wadzewski.

— Kosińskiego? Tego grabarza? A kto by go nie znal? Silny chłop. Gienia Małeckiego tak kiedyś pobił, że w szpitalu parę tygodni leżał.

— O co im wtedy poszło?

— Nie mam pojęcia. Widocznie nie lubił Gienia.

— Widocznie — zgodził się Wadzewski. — Czy wiecie, że Walenty Kosiński nie żyje?

Wyłka spuścił oczy, jakby nagle zainteresowały go niezwykle jego własne buty.

— Słyszałem coś o tym.

— A może słyszeliście także o tym, że Kosiński został zamordowany?

— Zamordowany? Walek Kosiński? Niemożliwe. — Słowa te nie zadźwięczały zbyt przekonująco.

— Przypuszczaliście, że to Kosiński was wtedy sypnął, prawda?

— Ależ, panie naczelniku, ja w ogóle nic takiego nie przypuszczałem! — zaprzeczył z ożywieniem Marian Wyłka.

Wadzewski pochylił się nad biurkiem i utkwiał twarde spojrzenie w twarzy cmentarnego złodzieja

— Po pierwsze nie jestem żadnym naczelnikiem. A po drugie przestańcie wreszcie udawać wariata. Dostyc mam już tej zabawy!

Wyłka poczerwieniał i zamrugał oczami.

— Nie rozumiem, panie... panie... Nie wiem, jak mam pana tytułować.

— Jestem przecież w mundurze — zauważył Wadzewski. — Chyba się trochę znacie na tych gwiazdkach. Jestem kapitanem. Ale nie chodzi o tytuły. Powiedziałem, że „dosyć mam tej zabawy” i wy doskonale się orientujecie, co mam na myśli.

— Panie kapitanie, ja naprawdę nic wiem... nic rozumiem...

Wadzewski jeszcze bardziej pochylił się nad biurkiem i zniżył głos.

— Słuchajcie, Wyłka. Przestańcie się wygłupiać, dobrze? Jeszcze trochę, a nabiorę pewności, że to wyście zamordowali Walentego Kosińskiego.

— Jak rany Boga! Ja miałbym zamordować Walka Kosińskiego? Ale dlaczego? Z jakiego powodu?

— Żeby się zemścić. To chyba proste. Wszyscy trzej jesteście przekonani, że to Kosiński napuścił na was milicję. Nie będziemy się tu czarować.

— Słowo honoru, panie kapitanie... Ja z tą sprawą nie mam nic wspólnego!

— Coście robili w nocy z czwartego na piątego grudnia?

— A co się robi w nocy, panie kapitanie? Spałem, ma się rozumieć.

— Jesteście żonaci?

— Ale skąd? Byłem kiedyś żonaty, ale żona mnie rzuciła już bardzo dawno. Stare dzieje.

— A w nocy z czwartego na piątego grudnia spaliliście sami?

Wyłka roześmiał się szczerze ubawiony.

— Az kimże miałbym spać, panie kapitanie. Niech mi się pan przyjrzy. Czy ja wyglądam na takiego, który by sypiał z jakimiś dziewczynami? Śmiechu warte.

— To nie takie śmieszne, jak wam się wydaje — powiedział poważnie Wadzewski. — Z tego, co mówicie, wynika, że nie macie alibi na tamtą noc.

— Jakże mogę mieć alibi, panie kapitanie, jeżeli spałem sam we własnym mieszkaniu, na własnym tapczanie, pod własną koldrą.

— I nikt nie może tego poświadczyć.

— A któż by mógł. Przecież mówię, że sam spałem.

— To niedobrze.

— Dlaczego niedobrze, panie kapitanie? Jak człowiek sam śpi, to niedobrze?

— Powiedziałem wam, żebyście nie udawali głupiego! — krzyknął zirytowany Wadzewski: — Dosyć już tych komedii! Jesteście podejrzani o zamordowanie Walentego Kosińskiego.

Twarz złodzieja cmentarnego zastygła nagle. Podniecenie i zdenerwowanie zniknęło.

— Panie kapitanie — powiedział spokojnie — mnie się widzi, że trzeba mieć dowody, żeby kogoś oskarżać.

— Nie powiedziałem, że jesteście oskarżeni — sprostował Wadzewski. — Jesteście podejrzani o popełnienie tej zbrodni. To duża różnica. Motyw istniał. Zupełnie wyraźny. Temu nie da się zaprzeczyć. Kosiński doniósł o waszej działalności milicji, a wy po wyjściu z więzienia... Zemsta.

— Ja go nie wykończyłem. Może i miałem chęć, ale nie zrobiłem tego.

— To znaczy, że jednak przypuszczaliście, że to Kosiński spowodował wasze aresztowanie.

Wyłka trochę się speszył.

— Różne rzeczy się przypuszcza, panie kapitanie, ale dopóki człowiek nic ma pewności... Ale jeżeli pan życzy sobie tak już wszystko wiedzieć, to panu powiem, że z tego Kosińskiego to także nie był taki aniołek, jak pan może przypuszcza.

Wadzewski spojrzał z zainteresowaniem.

— Nie rozumiem. Co macie na myśli?

— A to mam na myśli, że on także samo potrafił grób otworzyć.

— Skąd o tym wiecie?

— Słyszałem.

— Od kogo?

— Nie pamiętam.

— Spróbujcie sobie przypomnieć.

— Panie kapitanie... O mnie można powiedzieć wszystko najgorsze, ale kapusiem nigdy nie byłem i nie będę, choćby pan mnie ze skóry obdzierał. Powiedziałem, co mi się obilo o uszy i na tym koniec, kropka.

Wadzewski postanowił nie przeciągać rozmowy na ten temat.

— Więc jak to było z Kosińskim?

W ciemnych, okrągłych oczach pojawiło się zdziwienie.

— A co miało być? Wykorkował.

— Został zamordowany. Kto go wykończył? Może coś słyszeliście o tej sprawie? Ludzie między sobą gadają.

Wyłka wzruszył ramionami.

— To jasne, że gadają. Ale ja nic o Kosińskim nie słyszałem, absolutnie nic. Niech mi pan wierzy, panie kapitanie. Po cóż miałbym kłamać? Jak Boga kocham.

— Pana Boga to lepiej zostawcie w spokoju — poradził Wadzewski.

— Święta racja — zgodził się Wyłka. — Tylko widzi pan, panie kapitanie, już nie mam pojęcia, na co się mam zaklinać, żeby pan mi uwierzył, że ja z tym wszystkim nie mam nic wspólnego. Daję słowo honoru — źle, zaklinam się na Boga — także niedobrze. Wiec w końcu jak mam pana przekonać?

— A Eugeniusz Małecki?

— Co Małecki?

— Może to on wykończył Kosińskiego? Albo może Zenon Waciaszek? Razem ograbialiście groby, razem siedzieliście. Dobrze się znacie.

Wyłka znowu wzruszył ramionami.

— Ja tam, panie kapitanie, za nikogo ręczył nie będę. Ja mówię za siebie. A z tymi facetami to w ogóle się nie widuję. To nie towarzystwo dla mnie. Zresztą od razu na początku zaznaczyłem, że to było nieporozumienie. Ja żadnych grobów nie ograbiałem. Czysty przypadek, że mnie wtedy razem z tamtymi przymkli.

Wadzewski niecierpliwie machnął ręką.

— Przestańcie mi wreszcie opowiadać bajki. Wasza wina została udowodniona. Odsiedzieliście swoje i koniec. Nic ma sensu wracać do tego. Więc nic nie możecie mi powiedzieć na temat zamordowania Kosińskiego?

— Absolutnie nic. Żebym tak zdrow był. A o zdrowie, panie kapitanie, to ja bardzo dbam. Na nic człowiekowi nawet największa forsa, jak zdrowia nie ma.

— A może sobie coś z czasem przypomnicie?

— Nic sobie nie przypomnę, bo nic nie wiem. Czy pan kapitan przypadkiem nie chce mnie z powrotem do pudła...

Wadzewski potrząsnął głową.

— Nie, nie jesteście zatrzymani. Możecie iść do domu. Tylko na razie nie wyjeżdżajcie z Warszawy.

— A gdzie ja miałbym wyjechać, panie kapitanie? To moje rodzinne miasto. Ja się w Warszawie najlepiej czuję. Tutejszy klimat mi służy. Czasem jakieś nieporozumienie, jak nie przymierzając ostatnio, ale omyłki sądowe zdarzają się na całym świecie

Wadzewski już nic zareagował na „omyłkę sądową”.

— No i co? — spytał po wyjściu Wyłki — Co sądzisz o tym cwaniaku?

— Przeciętny typ. Prawdę mówiąc, nie wygląda na złodzieja cmentarnego.

Wadzewski pokiwał głową.

— Odniosłem identyczne wrażenie. Jeszcze raz potwierdza się zasada, że wygląd człowieka o niczym nie świadczy. Cała ta rozmowa była trochę przelewaniem z pustego w próżne. Jedna tylko rzecz mnie zastanowiła. Słyszałeś, jak powiedział, że Kosiński takie dobierał się do grobów? Jeżeli to prawda...

— Jestem prawie pewien, że to nieprawda — zaproponował energicznie porucznik. — A gdyby nawet taki fakt rzeczywiście miał miejsce, to jestem przekonany, że chodziłoby o jakiś konkretny grób i że za tym kryłaby się jakaś tajemnica.

— Tak sądzisz?

— Dałbym sobie rękę uciąć.

— Lepiej nie szafuj tak lekkomyślnie swoimi rękami — uśmiechnął się Wadzewski. — Ale przyznaję, że to co powiedziałeś, daje mi do myślenia.

Następnie przyszła kolej na Eugeniusza Małeckiego. Diametralnie różnił się od swojego kolegi po fachu. Potężnie zbudowany, szerokie bary, muskularne ramiona, byczy kark. Ciemne oczy głęboko osadzone pod krzaczastymi brwiami spoglądały nieufnie, podejrzliwie. Przy pominął ogromną antropoidalną małą. Usiadł ciężko i jakby z pewnym zdziwieniem obejrzał swoje duże, czerwone dłonie.

Ten bez trudu wywindowałby Kosińskiego na gałąź — pomyślał Wadzewski. Głośno zaś powiedział:

— Czy wiecie, dlaczego wezwano was do komendy milicji?

Olbrzym odetchnął głęboko.

— Czego wy ode mnie jeszcze chcecie? Odsiedziałem swoje i teraz żyję spokojnie. Żadnego grobu od tamtej pory nie ruszyłem.

— Nie chodzi o groby. Chodzi o Kosińskiego, o Walentego Kosińskiego.

— A co mnie do tego skurwysyna?

— Wyrażajcie się przyzwoicie. Znajdujecie się w komendzie milicji, a nie w żadnej melinie.

— Tak się wyrażam, jak umiem. Uniwersytetu niekończyłem.

— Znaliście Walentego Kosińskiego?

— Co miałem nie znać? Grabarzem był.

— Wiecie, że nie żyje?

— A co mi do tego. Żyje czy nie żyje... Dla mnie wsio rawno. Nie mój interes.

— Walenty Kosiński został zamordowany — powiedział z naciskiem Wadzewski.

— Dobrze mu zrobili. To był kawał skur... To był kawał drania.

— Z tego wynika, że byliście do Kosińskiego wrogo usposobieni.

Krzaczaste brwi zmarszczyły się. W ciemnych oczach błysnął niepokój.

— Ja go nie zabiłem.

— Nienawidziliście go.

Małecki poruszył potężnymi ramionami.

— Lubić go tam specjalnie nie lubiłem. To fakt.

— Domyślaliście się, że to on dał znać milicji o waszej działalności.

— Bo ja tam wiem. Różnie człowiek myśli.

— Po wyjściu z więzienia chcieliście się zemścić na Kosińskim.

— Ja go nie zabiłem.

— Walenty Kosiński został zamordowany w nocy z czwartego na piątego grudnia, z poniedziałku na wtorek. Coście wtedy robili?

— A czy to ja pamiętam? Pewnie spałem. Noc jest od tego, żeby spać.

— Jesteście żonaci?

— Nie. Skądże.

— Macie jaką przyjaciółkę?

— Iiii...

— Odwiedzają was jakieś dziewczyny?

— Przychodzą.

— Możecie podać nazwiska tych dziewczyn? Małecki znowu wzruszył ramionami.

— Ja się tam kurew o nazwiska nie pytam.

— To wyłącznie prostytutki was odwiedzają?

— A kto mnie ma odwiedzać? Czasem jakiś kumpel przyjdzie, przyniesie pół litra, a tak przeważnie to kurwy. Ja już taki jestem.

— Więc jak to było z tym Kosińskim?

— A co miało być? Nic.

— Został zamordowany.

— Po jaką cholerę pchał się do nie swoich spraw?

— Bronił grobów przed takimi jak wy. Małecki splunął.

— Truuu... O, bardzo przepraszam. — Przykrył butem mokry ślad i spojrzał niepewnie: — Nie chciałem. Tak mi jakoś... Ale jak słyszę takie rzeczy, to mnie szlag trafia! Ten łajdak Kosiński na gieroja wychodzi, a sam to co? Także samo potrafił do trumny się dogrzebać i otworzyć.

— Skąd o tym wiecie?

— Ludzie gadają.

— Powiedźcie mi, kto tak gada. Konkretnie. Nazwiska. Kto wam o tym mówił?

Małecki pokręcił dużą, kwadratową głową, która robiła wrażenie jakiejś nic dokończonych rzeźby, kutej w kamieniu.

— Nie wiem. Ja nie mam zwyczaju pytać się o nazwisko.

— Gdzieście to słyszeli?

— Chyba w knajpie. Już dobrze nie pamiętam.

— Kiepską macie pamięć.

— A co pan chce? Jak człowiek posiedzi tyle lat w pudle, to mu się pamięć nie poprawia.

— Więc twierdzicie, że nic nie wiecie o zabójstwie Walentego Kosińskiego.

— Ja się do tego nie wtrącałem.

— To jednak coś wiecie na ten temat — podchwycił Wadzewski.

— Nic nie wiem.

— Przed chwilą powiedzieliście „ja się do tego nie wtrącałem”. To znaczy do czego żeście się nie wtrącali?

Małecki zmarszczył brwi. Na jego twarzy malował się wysiłek myślowy.

— No, nie wtrącałem się, bo się nie wtrącałem. Ja się w ogóle nie lubię wtrącać. Ja nie zabiłem Kosińskiego. Dlatego mówię, że się do niego nie wtrącałem.

— A może któryś z waszych kumpli wykończył Kosińskiego?

— Ja nie mam żadnych kumpli.

— Jak to? — zdziwił się Wadzewski. — Przecież przez dłuższy czas obrabowywaliście groby razem z Marianem Wyłką i Zenonem Waciaszkiem.

— To było dawno.

— I razem siedzieliście w więzieniu.

— Co z tego?

— Jeżeli żeście podejrzewali, że to Kosiński was sypnął, to na pewno mieliście ochotę odegrać się na nim.

— Na różne rzeczy człowiek ma ochotę — mruknął Małecki. — Ale przecież nie wszystko się robi, na co się ma ochotę.

— A może to Wyłka albo Waciaszek porachowali się z Kosińskim?

— Bo ja wiem? Niech pan ich spyta, ale wątpię.

— Chciałbym jednak ustalić, co żeście robili w nocy z czwartego na piątego grudnia.

— Pewnie spałem.

— A może żeście pili z jakimiś kumplami?

— Może. Nie pamiętam.

— Radzę sobie przypomnieć. Porozmawiajcie ze znajomymi. Może oni mają lepszą pamięć.

— Moi znajomi nie mają dobrej pamięci. A w ogóle to lepiej nic nie pamiętać. Po cholere sobie jakieś kłopoty na łeb zwałać? Każdy zawsze powie, że nie pamięta. Ja nie zabiłem Kosińskiego. Jakbym go wykończył, tobym na pewno pamiętał.

Wadzewski doszedł do wniosku, że nie ma sensu przedłużać tej rozmowy, która nie mogła do niczego doprowadzić.

Opuszczając pokój Małecki nie uklonił się. Nie kiwnął nawet głową. Wyszedł ciężkim, kołyszącym się krokiem. Ostrożnie zamknął drzwi za sobą.

— Odnoszę wrażenie, że ten troglodyta nie jest taki głupi, za jakiego pragnie uchodzić — powiedział Koźlak.

— Z ust mi to wyjąłeś — przytaknął Wadzewski. — Niewiele dała nam ta pogawędka. Interesujące jest tylko to, że zarówno Wyłka, jak i Małecki mówili o Kosińskim jako o złodzieju cmentarnym. Mało prawdopodobne, żeby to ustalali między sobą. Z tego, co wiemy, wynika, że nie kontaktowali się. A zresztą w jakim celu mieliby oskarżać Kosińskiego? To w żadnym stopniu nie zmienia ich sytuacji.

Koźlak zamyślił się i zapalił papierosa.

— A jednak nie jestem przekonany o tym, że to ci trzej zlikwidowali Kosińskiego. Na pewno nie są to orły, ale znów chyba też nie takie dumie, żeby w swojej sytuacji decydować się na mokrą robotę. Przecież to jasne, że przede wszystkim oni będą podejrzani.

— Rozumujesz niby logicznie — przyznał Wadzewski. — Nie przeceniaj jednak zbyt ich inteligencji. To ludzie bardzo prymitywni, których mogła zaślepić nienawiść, chęć zemsty. Pozostaje nam jeszcze taka ewentualność, że kogoś napuścili

'na Kosińskiego, kogoś zupełnie z innego terenu, może nawet z innego miasta. Koźlak pokiwał głową.

— To prawdopodobne. Ale musimy wziąć pod uwagę, że najemny morderca nie podjąłby się takiej roboty ani za sto złotych, ani za tysiąc. To są na ogół kosztowne imprezy. Facet dużo ryzykuje i każe sobie słono płacić. Nie wiem, czy ci trzej zdecydowałiby się wybulić taką ciężką forszę.

— Niewykluczone, że czegoś jak czegoś, ale forsę im nie brakuje — powiedział Wadzewski. — Na razie nic zwracajmy sobie tym głowy. Porozmawiajmy z ostatnim członkiem tej „dobrowej” kompanii.

Zenon Waciaszek wyglądał tak, jakby wybierał się na ślubną uroczystość. Ciemny wizytowy garnitur, uszyty u dobrego krawca na miarę, śnieżnobiała koszula, znakomicie wyprasowana, jedwabny krawat perłowego koloru z delikatnymi złotawymi prążkami, świetnie wyczyszczone, błyszczące jak lakiery buty. Trudno było się domyślić, że ten wytworny mężczyzna, pachnący dobrą wodą kolońską, to hiena cmentarna.

Usiadł na brzeжку krzesła i, nie czekając na żadne pytania, od razu zaczął mówić. Najwidoczniej obrał taktykę ataku.

— Panie kapitanie, proponuję, żebyśmy nie tracili cennego czasu na zbędne frazesy i żebyśmy niezwłocznie przystąpili do sedna sprawy. — Słowa te zostały wypowiedziane z taką swobodą i z taką swadą, że Wadzewski spojrział zdziwiony.

— Nie mam nic przeciwko temu.

— To doskonale — Waciaszek poprawił się na krześle, założył nogę na nogę i wyjął papierosa. — Pozwoli pan zapalić?

— Proszę.

— A może pana można poczęstować?

— Nie. Dziękuję.

— A więc... — powiedział Waciaszek, otaczając się tytoniowym dymem — zaprosiliście mnie, panowie, do siebie do komendy w celu porozmawiania na temat tragicznie zmarłego grabarza, niejakiego Walentego Kosińskiego.

— To prawda — przytaknął Wadzewski, którego zaczynała śmieszyć światowa poza złodzieja cmentarnego.

— No, właśnie. Podobno ten Kosiński odebrał sobie życie, powiesił się. Obiło mi się także o uszy, że jakoby został zamordowany.

Wadzewski uważnie przyjrzał się swojemu rozmówcy.

— Rzeczywiście Walenty Kosiński został zamordowany. Prowadzimy dochodzenie w tej sprawie.

— I oczywiście podejrzewa pan mnie o dokonanie tej zbrodni.

— Was oraz waszych kolegów.

— O jakich kolegach pan mówi, panie kapitanie?

— Mówię o Marianie Wyłce i Eugeniuszu Małeckim.

Waciaszek pogardliwie wyduł wargi.

— To nie są moi koledzy — powiedział z obrzydzeniem. — To w ogóle nie jest dla mnie odpowiednie towarzystwo.

— A jednak ograbialiście do spółki z nimi groby — zauważył Wadzewski.

— Po pierwsze to zdarzyło się bardzo dawno, a po drugie ci dwaj to nie są ludzie na poziomie.

— A ograbianie grobów to waszym zdaniem jest zajęcie na poziomie?

Waciaszek bardzo starannie zgasił w popielniczce papierosa i odezwał się dopiero po chwili.

— Panie kapitanie. Pomówmy szczerze. Mnie się osobiście wydaje, że koło całej tej sprawy robi się stanowczo za dużo szumu.

— Czyżby?

— No, oczywiście. Bo tak Bogiem a prawdą po co nieboszczykowi drogocенności, biżuteria, a choćby i złote zęby. Przecież nie wierzymy, że na tamtym świecie będzie zjadał jakieś smakołyki. Dlaczego złoto, drogie kamienie mają się marnować w ziemi. Umarłym nic z tego, a żywi mogą mieć jakiś pożytek. Co innego jak się żywego faceta zabije i obrabuje, ale zabrać to i owo umarłemu... Nie takie chyba wielkie przestępstwo.

— Macie dziwny pogląd na tę sprawę — powiedział cierpko Wadzewski. — Artykuł 197 kodeksu karnego paragraf 2 przewiduje do dziesięciu lat pozbawienia wolności za ograbianie grobów.

Waciaszek skrzywił się.

— Panie kapitanie... Zarówno pan, jak i ja wiemy doskonale, że ci, co układają kodeksy, to ludzie pozbawieni fantazji. Trzymają się kurczowo jakichś przestarzałych nieraz tradycji obyczajowych.

— Dajmy temu spokój! — uciał energicznie Wadzewski. — Nie sprowadziłem was do komendy po to, żebyśmy dyskutowali na tematy prawno—filozoficzne.

Owalna twarz Waciaszka zajaśniała uśmiechem.

— Domyślam się, że nie po to. Ale jestem najmocniej przekonany, że pan kapitan jest zbyt dobrym psychologiem, żeby przypuszczać, że ja mógłbym się zaplątać w tego rodzaju aferę.

— Jestem wystarczająco dobrym psychologiem, żeby bez trudu rozszyfrować całą tę idiotyczną komedię, jaką tutaj przede mną odgrywacie.

— Komedie? Ja? — oburzył się Waciaszek.

— Dostyc! — Wadzewski podniósł głos. — Przestańcie się wreszcie zgrywać. I tak okazałem zbyt dużo cierpliwości, wysłuchując tych wszystkich bzdur. Mielście wystarczający powód, żeby się na Kosińskim zemścić, zarówno wy, jak i Marian Wyłka oraz Eugeniusz Małecki. Wszyscy trzej domyślaliście się, że to on doniósł milicji o waszej przestępczej działalności. Możecie być pewni, że prędzej czy później dojdziemy prawdy. Lepiej dla was będzie, jeżeli zagracie ze mną w otwarte karty. Pytam raz jeszcze: braliście udział w zamordowaniu Walentego Kosińskiego?

Waciaszek poruszył się gwałtownie. Z jego twarzy zniknął błyskawicznie „filozoficzny” półuśmiech.

— Niech Pan Bóg broni! Co też pan kapitan...! Ja miałbym... Skądże znowu! Nawet mi takie rzeczy na myśl nie przyszły. Jak pragnę wolności! Daję panu kapitanowi najświętsze słowo honoru, że z tą sprawą nie mam nic wspólnego, ale to absolutnie nic.

— Słowo honoru złodzieja cmentarnego niewiele dla mnie znaczy — powiedział Wadzewski. — Radzę wam się dobrze zastanowić nad waszym oświadczeniem. Jeżeli się okaże, że kłamiecie, będzie z wami bardzo źle.

— Mówię najszczerzą prawdę. W ogóle nie lubię kłamać. To nie leży w moim charakterze.

— W porządku. Ale domyślaliście się, że to Kosiński zawiadomił milicję?

Waciaszek zawahał się.

— No tak... — powiedział wolno.— Jeżeli mam być szczery, to trochę się domyślałem. Kosiński w ogóle strasznie wojował na cmentarzu...

— Z tymi, którzy okradają groby.

— Kiedyś nawet doszło do bójk — dorzucił pośpiesznie Waciaszek. — Ale prawdę mówiąc i on sam nie był taki zupełnie czysty.

— Co chcecie przez to powiedzieć?

— A to, że Kosiński także potrafił grób otworzyć.

— Skąd o tym wiecie?

— Słyszałem. Różni tak gadają.

— Ale konkretnie kto, tego oczywiście nic pamiętacie.

- Nie. Jak się o takich sprawach rozmawia, nikt nikomu nie podaje swojego nazwiska.
- A może chociaż orientujecie się, czy to było dawno? Czy dawno ktoś widział, jak Kosiński otwierał trumnę na cmentarzu?
- W każdym razie ja już z kicia wyszłem. — Wytworny sposób wysławiania się gdzieś się zawieruszył. Waciaszek coraz bardziej wypadł ze swojej pierwotnej roli. Stawał się wreszcie sobą. Ot. po prostu cmentarny złodziej.
- Zostaliście zwolnieni z więzienia mniej więcej w połowie listopada.
- Dokładnie, panie kapitanie, trzynastego listopada. Pamiętam. Jak raz były moje urodziny. Nawet urządziliśmy sobie takie skromne przyjęcie, bo to i wyjście z pudła, i urodziny. Taka okazja często się nie trafia.
- Rzeczywiście przyznał Wadzewski. — Kosiński został zamordowany w nocy z czwartego na piątego grudnia. Coście tej nocy robili?
- Spałem, oczywiście, jak Pan Bóg przykazał.
- Czy jesteście żonaci?
- Byłem. Ale żona się ze mną rozeszła, jak mnie wsadzili. Nie mam do niej pretensji. Tyle lat...
- A obecnie macie jakąś przyjaciółkę?
- A czy ja wyglądam na takiego, który by się już nie mógł podobać dziewczynom?
- Pytałem, czy macie jakąś przyjaciółkę — powtórzył Wadzewski.
- Ma się rozumieć, że mam. Pierwszorzędna dziewczucha.
- A w nocy z czwartego na piątego grudnia spaliście sami czy z przyjaciółką?
- Zaraz... zaraz... — Waciaszek mocno zmarszczył brwi. jakby energicznie mobilizując swą pamięć.
- Ależ oczywiście, że spałem z Basieńką. Czwartego grudnia to przecież świętej Barbary. Była okazja napić się lampkę wina, no nic?
- I wasza przyjaciółka nocowała u was.
- Ma się rozumieć. A u kogóż miała nocować. Popiliśmy trochę, pogawędzili i lulu.
- Moglibyście mi podać nazwisko i adres leż waszej przyjaciółki?
- Czy to konieczne?
- Konieczne.
- Bo widzi pan, panie kapitanie. Basiunia ma takie dziwne uczulenie na mundur milicyjny. Jak tylko go zobaczy, to zaraz dreszczy dostaje i bólu głowy. Nie mam pojęcia, dlaczego, bo przecież do tej pory nigdy jej na niczym nie złapali. Nie siedziała ani jednego dnia. Ale jak to dziewczyna... Wie pan.
- Muszę się z nią zobaczyć. I to zanim wy z nią porozmawiacie.
- Waciaszek pokiwał głową.
- Rozumiem. No cóż... Mówi się trudno. Jak mus, to mus.

Barbara Niedziecka odnajmowała pokój od krawcowej, nie robiącej wrażenia mistrzyni kroju. Być może, że na stare lata zajęła się trochę szyciem, żeby usprawiedliwić jakoś swoją egzystencję wobec siebie samej i wścibskich sąsiadów.

Wadzewski już w przedpokoju poczuł charakterystyczny zapach. Pomyślał, że gruntowne zbadanie terenu pozwoliłoby niewątpliwie odkryć poważniejsze zapasy bimbrowy. Nie w tym celu jednak tu przyszedł i nie miał zamiaru w tej chwili zajmować się tą sprawą.

Dziewczyna o prymitywnej, chociaż dosyć efektownej urodzie miała błysk inteligencji w oczach. Jej pretensjonalne ruchy były niewątpliwie rezultatem wielogodzinnych ćwiczeń, wykonywanych przed dużym lustrem wiszącym naprzeciwko tapczana. Uśmiech także został starannie wyreżyserowany.

Wadzewski miał na sobie cywilne ubranie i dlatego początkowo został potraktowany dosyć lekceważąco. Dopiero legitymacja służbowa wywołała piorunujący efekt. Niedziecka zbladła gwałtownie i momentalnie straciła sposób bycia gwiazdy filmowej.

— Ja nic nie zrobiłam, panie kapitanie. Jak Boga jedynego kocham. Ja w ogóle nie mam nic wspólnego z tą sprawą.

— O jakiej sprawie pani mówi? — spytał Wadzewski.

— No, o tej bójce. Co to Edek z Heńkiem i z tym jeszcze trzecim... Ja w ogóle nie wiem, czyje to były korale. Ja się do takich spraw nic wtrącam. Całkiem przypadkowo wpadłam do „Jantara” na piwo. spotkałam Edka. A potem zrobiła się ta cała awantura. Przyszli milicjanci, myśleli, że to ja podgrandzilam tej babce korale. Ale ja w ogóle nie wiem o żadnych koralach i nigdy w życiu nie kombinowałam ani z Edkiem, ani z Heńkiem. Nic mi do nich. Po prostu znajomi, koledzy. Edka to jeszcze znam z powszechniaka.

— Ja nie w sprawie żadnych koralów — wyjaśnił Wadzewski.

Odetchnęła z widoczną ulgą.

— Proszę. To może pan usiądzie. — Mimo wszystko była trochę niespokojna i podejrzliwie przyglądała się nieoczekiwanemu gościowi.

— Zna pani niejakiego Zenona Waciaszka?

— Zenka? Jasne, że go znam i to bardzo dobrze. Miły i kulturalny mężczyzna. Nie taki jak te inne łachudry.

— Waciaszek jest pani przyjacielem.

— Wielu mam przyjaciół i przyjaciółek — odparła wymijająco. — Zenka lubię specjalnie. To fakt

— Czy w nocy z czwartego na piątego grudnia spała pani w mieszkaniu Zenona Waciaszka?

Wydeła wargi, udając obrażoną.

— Takich pytań nie zadaje się damie, proszę pana. To nie jest elegancko.

Wadzewski z trudem opanował wesołość.

— Widzi pani... — powiedział z przesadną powagą — ja prowadzę śledztwo w bardzo ważnej sprawie. Chodzi mi o ustalenie alibi dla pani przyjaciela, Zenona Waciaszka. Czy pani wie, co to znaczy alibi?

— Ma się rozumieć, że wiem. Za kogo mnie pan uważa? — oburzyła się dziewczyna. — Alibi to jest takie coś, że facet nie mógł być w danym miejscu, bo był akurat w tym czasie zupełnie gdzie indziej.

— No, właśnie — przytaknął Wadzewski. — Bardzo trafnie to pani ujęła. Chciałbym ustalić, że Zenon Waciaszek w nocy z czwartego na piątego grudnia nie mógł znajdować się gdzie indziej, ponieważ spał z panią.

— Faktycznie spał ze mną. A właściwie to ja spałam u niego.

— I wtedy w nocy nigdzie nie wychodził?

— Tylko do łazienki.

— A na miasto?

— Skądże! A na cóż miałby wychodzić na miasto w nocy na taką pluchę. Spał spokojniutko do samego rana. Pamiętam, że nawet chrapał bardziej niż zwykle. Ale on już jest taki. Jak tylko trochę wypije, to nie-
możebnie chrapie.

— Dziękuję pani za informacje.

— Bardzo proszę. Nie ma za co. To znaczy się, że Zenek ma teraz alibi?

— Ma. Dzięki pani.

— A o co go podejrzewacie?

Wadzewski zawahał się. Nie uznał jednak za stosowne, żeby te dziewczynę wtajemniczać w sprawę zabójstwa Kosińskiego.

— E, takie tam różne sprawy. Nawet nie warto o tym gadać. Niech mi pani jeszcze coś opowie o tych koralach.

— O jakich koralach? — Udała, że nie rozumie.

— No... o tych, o których pani wspomniała na początku naszej rozmowy. Co to wynikała ta awantura pomiędzy pani znajomymi, Edkiem i Heńkiem.

— A... o tym pan mówi? — Widać było, że nie cieszy ją zmiana tematu.

— Z pani słów wynika, że koledzy nawet się pobili.

— Faktycznie. Edek solidnie wlał Heńkowi. Może i za ostro go... Silny chłop. Nie warto z nim zaczynać.

— A poszło im o jakieś korale?

— Tak słyszałam, ale dokładnie panu nie powiem, bo nie wiem. Ja tam się do cudzych spraw nie lubię mieszać. Niewinnie można oberwać. Na co mi to?

— Czy mogłaby mi pani podać nazwiska i adresy Edka i Heńka?

— Nazwiska mogę powiedzieć, ale adresów nie znam. Niech pan zapyta milicjantów, którzy ich spisywali za, jak to się mówi, zakłócenie.

— Czym się zajmują ci pani znajomi?

— Przeważnie hydraulicy.

— Dlaczego pani mówi „przeważnie”?

— No bo jak się trafi jakaś inna, lżejsza robota, to robią co innego.

— Na przykład co?

Nie wiem. Niech się pan ich spyta. Okna i drzwi uszczelniają, żeby nie wiało, albo froterują. Różnie. Ja tam się do nich nie wtrącam. Niech robią, co chcą. Nic mi do tego.

Wadzewski znalazłszy się na ulicy pograżył się w rozmyślaniach. Właściwie sprawa z koralami, na którą się przypadkowo natknął, zupełnie go nie obchodziła, ale z drugiej strony miał ochotę rozszerzyć trochę znajomość tego środowiska..

Rozdział II

Od samego rana był w fatalnym humorze. Wszystko mu się jakoś nie udawało. Już przy śniadaniu wylał na nowiutkie spodnie szklankę mocnej herbaty, bez wyraźnego powodu zwymyślał Marcysię, a następnie pokłócił się z szefem, który mu oświadczył, że jak tak się będzie zachowywał, to może poszukać sobie innego biura projektów. Chętnych na jego miejsce jest dosyć. Żeby trochę ochłonać i odzyskać równowagę ducha, zjadł na mieście obiad i poszedł na spacer do Łazienek. Przeszło godzinę brnął w błocie i topniejącym śniegu. Nie dawał jednak aa wygraną. Zawział się.

A teraz znowu ta historia z Irmą.

Zaraz po powrocie żony zastukał do jej pokoju.

Siedziała w głębokim fotelu i czytała jakąś grubą, oprawną w skórę książkę.

— Gdzie byłaś?

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Przecież wiesz. W kościele na nieszporych.

— To się wreszcie musi skończyć! — powiedział energicznie.

— Co się musi skończyć, kochany? Nie rozumiem.

— Doskonale rozumiesz— Nie udawaj. Czy ty myślisz, że ja jestem taki głupi, że wierzę w te twoje ciągle chodzenie do kościołów? To jest pretekst, to jest tylko i wyłącznie prymitywny pretekst. Jedne mówią, że idą do fryzjera, inne, że do krawcowej, jeszcze inne, że do chorej ciotki, a ty wybrałaś sobie kościół. Wymówka elegancka, pobożna i niebanalna. Kościół. Nieszpory. Świątobliwa niewiasta. Powiedz lepiej od razu, że masz kochanka. Lubię jasne sytuacje.

Bez pośpiechu zamknęła książkę, położyła ją na stoliku i podniosła się z fotela. Była wysoka, a długi, sięgający do kostek czarny aksamitny szlafrok czynił ją jeszcze wyższą. Jej duże, brązowe oczy zwęziły się i pociemniały.

— O co ci chodzi? Dlaczego mnie znieważasz? Trochę się spieszył. Dla dodania sobie animuszu zapalił papierosa i, nie patrząc na żonę, przeszedł się po pokoju.

— Ja mam już tego wszystkiego dosyć! Rozumiesz? Dosyć! Nie po to się ożeniłem, żeby moja żona bez przerwy siedziała w kościele.

— Po pierwsze nic bez przerwy. A po drugie żeniąc się ze mną doskonale wiedziałeś, że jestem wierzącą, praktykującą katoliczką.

— A ja jestem niewierzący i mam te wszystkie praktyki kościelne w nosie. Rozumiesz? W nosie.

Teatralnym gestem wyciągnęła rękę i wskazała mu drzwi.

— Wyjdź. Nienawidzę chamstwa.

— Wyjdę, kiedy będzie mi się podobało. To jest mój dom. ty jesteś moją żoną i nie pozwolę sobie rozkazywać. Rozkazywać możesz służbie, ale nie mnie. — Podniecał się swoimi słowami. Był w coraz większej pasji. Zawsze doprowadzał go do furii ten jej niczym nie wzruszony spokój, to jej niezwykle opanowanie. Nigdy nie podniosła głosu, nigdy nie dała poznać po sobie, że jest zdenerwowana, wzburzona.

— Jak chcesz. W takim razie ja wyjdę. Nie mam zamiaru kontynuować rozmowy w tym tonie.

Przygryzł wargi.

— Posłuchaj mnie, Irmo — powiedział już spokojnie. — Czy naprawdę nie możemy jakoś dojść do porozumienia?

— Jeżeli będziesz ordynarny, to nigdy nie dojdziemy do porozumienia.

— A jeżeli nie będę ordynarny?

— To się okaże.

— Słuchaj — Garbiszewski z trudem panował nad nowym wybuchem. — Musisz zrozumieć, że każdy mężczyzna od czasu do czasu rzuci jakimś cięższym słowem. Przecież nie możesz powiedzieć, żebym w twojej obecności używał ordynarnych, wulgarnych wyrazów. Nie mówię już nawet „do jasnej cholery”, chociaż często miałbym ochotę.

— Wychodząc za ciebie za mąż, byłam przekonana, że poślubię gentelmana.

— A ja, żeniąc się z tobą, byłem przekonany, że będę miał normalną żonę, a nie zakonnice. Zlituj się. Zastanów się nad naszym małżeństwem. Rano jemy śniadanie, razem albo osobno, bo ty lubisz dłużej pospać. Potem jadę do pracy. Wracam, zjadamy obiad, porozmawiamy o niczym i każde idzie do swojego pokoju. Ja się chwilę prześpię, a kiedy wstaję, ciebie już nie ma w domu. Pytam Marcysi: „Gdzie pani?” „Pani pojechała do kościoła”. Po kościele albo wracasz do domu, albo idziesz do jakiejś przyjaciółki. I tak jest codziennie. Od wielu miesięcy nie sypiamy razem. Rozumiesz, co to znaczy? Nie sypiamy razem! Żyjemy w separacji.

— Nie domyślasz się, dlaczego?

— Nie mani pojęcia. Może mi wytłumaczysz.

— Nie ma między nami żadnego fizycznego zbliżenia, ponieważ ty jesteś rozpustny. A ja nie wyszłam za mąż po to, żeby uprawiać rozpustę.

Garbiszewski osłupiał. Przez chwilę me mógł wykrztusić ani słowa.

— Oszalałaś?!

— Wcale nie oszalałam. Nie mam zamiaru żyć w ciągłym grzechu.

— Ty jesteś chyba naprawdę niezupełnie normalna. W jakim znowu grzechu? Przecież jesteśmy ślubnym małżeństwem. Braлиśmy ślub w kościele, tak, jak chciałaś.

Energicznie potrząsnęła głową.

— To niczego nie dowodzi. Nie chcę z tobą żyć. Ohyda. Rozumiesz? Ohyda. To mnie upokarza.

— W takim razie wielka szkoda, że nie poszłaś do klasztoru. Jeżeli oczywiście to wszystko prawda, co mówisz.

— Zarzucasz mi kłamstwo?

— A ty jesteś pewna, że wszystko, co mówisz, jest prawdą?

— Jak śmiesz wątpić o prawdziwości moich słów? To mnie obraża.

Machnął ręką zniechęcony. Był już spokojniejszy.

— Czy nie uważasz, że trochę za dużo tego patosu?

— A ty nie uważasz, że tak się nie traktuje własnej żony ani w ogóle żadnej innej kobiety?

— Posłuchaj mnie, Inno — powiedział, siląc się na spokojny, łagodny ton. — Być może, że nasze małżeństwo było jednym wielkim nieporozumieniem. Nie chciałaś żyć ze mną przed ślubem, uważałaś to za niemoralne. I w rezultacie kupiłaś przysłowiowego kota w worku. Mam wrażenie, że po prostu jesteś albo nierozbudzona, albo niewyżyta erotycznie i z tego wynikają te wszystkie nasze nieporozumienia. Prawdę mówiąc, trudno się nawet dziwić, że szukasz pocieszenia gdzie indziej.

Krew uderzyła jej do twarzy,

— Więc ty ciągle jeszcze myślisz, że ja mam kochanka, tak?

— Do jasnej cholery! — krzyknął wyprowadzony z równowagi. — Przestań ze mnie wreszcie robić dumnia. Przypuszczasz, że ja uwierzę, że ty, młoda, bardzo ładna kobieta całymi godzinami przesiadujesz w kościele?

— W każdej chwili możesz to sprawdzić. Bardzo proszę.

— Nie mam czasu ani ochoty na to, żeby cię szpiegować. A prywatni detektywi w naszym kraju nie istnieją.

— Szkoda.

— Może i szkoda. Biura detektywistyczne są w pewnych sytuacjach bardzo pożytecznymi instytucjami. Ale sądzę, że obejdziemy się bez pomocy detektywa. Po prostu rozejdziemy się. Nie mamy dzieci. Nic nie stoi na przeszkodzie.

Roześmiała się, pokazując drobne, ostre zęby. Śmiech ten nie zabrzmiał wesoło. Wyczuwało się w nim groźbę.

— Chcesz mnie się pozbyć, tak? Nie wyobrażaj sobie, że to będzie takie proste. W każdym razie będzie cię to bardzo drogo kosztowało.

— O, widzę, że myślisz nie tylko o sprawach duchowych — uśmiechnął się Garbiszewski. — Brawo! To mi się podoba. Cenię w ludziach zmysł praktyczny.

— Słyszałaś kiedyś o małżeńskiej wspólnotcie majątkowej?

Ciągle się uśmiechał.

— Coraz lepiej. Zaczynasz operować fachowymi, prawniczymi zwrotami. Najwyraźniej przygotowałaś się do tej rozmowy. To ci się bardzo chwali. Ale bądź pewna, że podział majątku nie będzie wyglądał tak, jak ty sobie to wyobrażasz.

— Owszem, będzie właśnie tak wyglądał, jak ja to sobie wyobrażam — powiedziała i przekonaniem. — Ta willa z ogrodem, mieszkanie w Warszawie, konta w bankach. Wszystko po połowie.

— To się jeszcze okaże.

— Nie zapominaj, że to ja ci dałam pieniądze na twoją podróż do Ameryki. Mam na to świadków.

Podszedł do niej wolnym, skradającym się krokiem. Przestraszyła się.

— Nie dotykaj mnie! — krzyknęła histerycznie. — Nie dotykaj mnie, bo będę wołać o pomoc.

W jego oczach nie było groźby. Spojrzał na żonę łagodnie, nieomal czule.

— Kochana — powiedział swoim miękkim, melodyjnym głosem, którym zawsze urzekał kobiety. — Dajmy temu spokój. Czyż musimy się sprzeczać? Wiesz przecież, że cię kocham i że jestem zazdrosny nie tylko o jakiegoś realnego, istniejącego rzeczywiście mężczyznę, ale także i ten twój kościół, o Boga... — W tej chwili zdał sobie sprawę z teatralnego patosu tych słów, i o mało się nie roześmiał. Zachował jednak całkowitą powagę.

— Jesteś zazdrosny o kościół?! — spytała zdumiona.

— Oczywiście. Jestem zazdrosny o wszystko, co staje pomiędzy nami, co mi ciebie zabiera.

— Nie możesz mi zabronić chodzić do kościoła. Muszę. Rozumiesz? Muszę modlić się i za siebie i za ciebie. Pragnę zbawienia twojej duszy tak samo, jak tego pragnął Walenty.

— Zostaw nieboszczyków w spokoju — mruknął rozdrażniony tym religijnym nastrojem. — Jeżeli koniecznie chcesz jeździć do kościoła, to trudno. Jakoś się z tym pogodzę, Chciałbym jednak, żebyś znalazła i dla mnie trochę czasu.

— To już nie będziesz się ze mną rozwodzić? — spytała patrząc mu prosto w oczy.

Zajął się zapalaniem papierosa.

— W każdym małżeństwie zdarzają się jakieś scysje. Sądzę, że nie musimy uciekać się do tak drastycznych środków. Rozwód to bardzo przykra i kłopotliwa sprawa. Skomplikowałyby się nasza pozycja towarzyska. A poza tym mielibyśmy tyle najrozmaitszych kłopotów... Wydaje mi się, że w tej chwili nie musimy mówić o rozwodzie. Chyba że ty koniecznie chcesz się mnie pozbyć.

Potrząsnęła głową.

— Jeżeli pozwolisz mi jeździć na nabożeństwa i jeżeli nie będziesz mnie podejrzewał, że mam kochanków, to nie muszę się z tobą rozwodzić. Masz rację, że ze względów towarzyskich nie byłoby to wskazane.

— Cieszę się, że też tak uważasz. Obiecuję ci, że dołożę wszelkich starań, żeby nasz wzajemny stosunek uległ radykalnej zmianie, ale i ty musisz okazać trochę dobrej woli.

Szeroko otworzyła oczy.

— Zdumiewasz mnie, Konstanty. Kto jak kto, ale chyba ja jonem kobietą dobrej woli.

* *

*

Na drugi dzień po rozmowie z mężem Inna wsiadła do swojego małego fiata i pojechała na Bielany. Zatrzymała wóz przed zieloną furtką, wiodącą do niewielkiego ogródka. W głębi białął domek, pokryty czerwoną dachówką.

Emilia wybiegła na spotkanie przyjaciółki, Wysoka, bardzo chuda, o podłużnej ascetycznej twarzy, w której dominował duży, zgięty nos przy odrobinie fantazji można ją było wziąć albo za średniowiecznego mnicha, albo za czarownicę z Łysej Góry. Ruchy miała energiczne, kanciaste, męskie.

— Jakże się cieszę, że cię widzę! — wykrzyknęła niskim, głębokim altem. — Bardzo dawno się nie pokazywałaś. A wiesz? Miałam dzisiaj w nocy przecucie, że przyjedziesz. Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

— Tak się jakoś nie złożyło. Miałam tyle spraw na głowie. Poza tym mój mąż...

Weszły na mały ganeczek, a stamtąd do mieszkania.

Emilia zabrała się zaraz do przygotowywania herbaty.

— Zaczęłaś coś mówić o swoim mężu.

— Jest nieznośny. Trudno z nim wytrzymać.

— Z każdym mężczyzną trudno wytrzymać — stwierdziła autorytatywnie Emilia. — Dlatego też ja nigdy nie myślałam o małżeństwie. Ale... ale... Wiesz już chyba o tej tragedii.

— Oczywiście, że wiem. Przecież byliśmy razem na pogrzebie. Nie pamiętasz?

Emilia przeciągnęła dłonią po czole.

— Masz rację. Rzeczywiście. Przecież razem odprowadziłyśmy go do grobu. Zupełnie nie rozumiem, jak to się stało, że mogłam zapomnieć. Będzie go nam brakowało.

— Tak. Będzie go nam bardzo brakowało — powtórzyła Irma. — To był wspaniały człowiek.

— Święty człowiek — skorygowała ją Emilia. — Początkowo mówiono, że sobie życie odebrał, ale to przecież brednie. Taki człowiek nie mógł podnieść ręki na dzieło boże. Ktoś go zamordował.

— Ale kto?

Emilia dużą, wyschniętą dłonią pogładziła przyjaciółkę po włosach.

— Jesteś jeszcze naiwne dziecko, kochana moja. A małoż on miał wrogów? Mogli to zrobić ci złodzieje cmentarni, którzy ograbiają groby. Wiesz przecież, że on z nimi walczył.

— Masz rację — przytaknęła Irma. — Oni mogli.

Na szarej twarzy Emilii wystąpiły ceglaste rumieńce.

— Nienawidzę ich! Z całego serca nienawidzę!

— Chrystus kazał przebaczać — powiedziała poważnie Irma.

Emilia zwróciła ku niej rozpaloną twarz. Jej oczy płonęły fanatycznym blaskiem.

— Widocznie nie jestem godna Chrystusa — powiedziała zmienionym, schrypniętym głosem. — Ja nie mogę przebaczyć tym mordercom. Nie mogę!

Czajnik zaczął gwizdać. Woda się zagotowała. Emilia odetchnęła głęboko i zaparzyła herbatę. Z wolna się uspokajała.

— A może wolałabyś kawę? — spytała cicho, jakby się wstydząc niedawnego wybuchu. — Mam tu „Amino”. Wystarczy zalać wrzątkiem.

— Wolę herbatę — powiedziała równie cicho Irma. Zdenerwowanie przyjaciółki udzieliło jej się, drżała wewnątrz.

Emilia ustawiła na tacy szklanki z herbatą, cukier i jakieś domowe ciasto. Zaniósła to wszystko do pokoju.

Usiadły naprzeciwko siebie i chwilę milczały, mieszając cukier w szklankach—. Pierwsza odezwała się Emilia cichym, drżącym głosem, przechodzącym w wysoki dyszkant. Robiło to takie wrażenie, jakby się miała rozplakać:

— Widziałas go, jak wisiał, jak wisiał na gałęzi? Czy wiesz, że wyglądał śmiesznie?

— Śmiesznie?!...

— Tak. ? Wyobraź sobie, że tak. Bezładny ludzki kształt z przekrzywioną na bok głową. Podobny był do szmacianego pajaca, kołysanego wiatrem. Wiem, że to głupie, co mówię, ale wyglądał śmiesznie.

— Coś takiego... —W głosie Inny zadźwięczała wyraźna dezaprobata.

— Ja pierwsza go zobaczyłam — mówiła dalej Emilia. — Nie miałam oczywiście pojęcia, że to on. Dopiero kiedy podeszłam bliżej... To zrobiło na mnie wstrząsające wrażenie. Byłam na wpół przytomna. Nie mogłam uwierzyć— Nie chciałam... Straszne.

— Brałaś udział w jakimś pogrzebie?

— Tak. Szłam niedaleko trumny i właśnie wtedy... Zobaczyłam... zobaczyłam, że ktoś wisi.

— Był bez brody? — spytała Irma.

— Bez. Ale ty nie mów nikomu, że on sobie przyprawiał brodę.

— Skądże. Za kogo mnie uważasz? Tylko my dwie o tym wiemy.

— Tylko my dwie — powtórzyła Emilia.— — Ale co teraz będzie? Co będzie z naszymi zebraniem? Musimy coś obmyśleć, coś ludziom powiedzieć.

— Powiemy, że zachorował.

— No tak, na razie tak— Ale przecież nie może ciągle być chory. W końcu trzeba będzie powiedzieć prawdę.

Irma zamyśliła się.

— Masz rację. Trzeba będzie powiedzieć. Wybierzemy się wszyscy razem na jego grób— Zaniesiemy kwiaty.

— O, bądź spokojna. Kwiatów mu nigdy nie zabraknie. Zawsze będę o tym pamiętała.

Rozmawiały jeszcze długo o ojcu Walentym, wspominając wspólnie z nim spędzone chwile. Wreszcie Irma spojrzała na zegarek.

— Późno się zrobiło. Muszę jechać. Nie chce, żeby Konstanty znowu się awanturował. On teraz jest taki jakiś przewrażliwiony, pobudliwy, łatwo wpada w gniew.

Emilia serdecznie wyściskała przyjaciółkę.

Rozdział III

Wadzewski wiedział z doświadczenia, że nawet fakty pozornie nic mające nic wspólnego ze sprawą mogą okazać się bardzo pożytecznym materiałem dowodowym i nadać dochodzeniu zupełnie nowy, właściwy kierunek. Niewiele sobie wprawdzie obiecywał po tej rozmowie, ale postanowił przesłuchać chociaż jednego ze znajomych Barbary Niedzieckiej, który brał udział w bójce w „Jantarze”, na Świętokrzyskiej. Znał dobrze tę ponurą spelunę, znajdującą się z niewiadomych przyczyn w samym centrum stolicy.

Bez trudu odnalazł protokół zajścia w Komendzie Śródmieście i polecił Koźlakowi poszukać chłopaków.

Edward Kuleś był mocno zbudowanym dwudziestokilkuletnim mężczyzną o ciemnych, kręconych włosach i grubych, wywiniętych wargach. Wyglądał na trochę speszonego i można się było domyślać, że nerwowo usiłuje odgadnąć, o co chodzi. Usłyszawszy, że rnilicjanci interesują się jeszcze tą bójką w pijalni piwa, rozpromienił się i odetchnął swobodniej, jakby mu duży ciężar spadł z serca.

— To było bardzo, dawno, panie władzo. Sprawa załatwiona. Nic warto nawet wspominać.

— Podobno solidnie poturbowaliście kolegę — powiedział Wadzewski.

Kuleś poskrobał się za uchem.

— Faktycznie, może się ciut za bardzo rozgrzałem i dosunąłem mu parę razy, a że on raczej chłopak mizerny... Ale Heniek dobry kolega. Żalu nie ma. Nawet na kolegium zeznał, że nie ma do mnie żalu. Czasami się zdarzy takie nieporozumienie między najlepszymi przyjaciółmi. Znowu się razem trzymamy.

— O co wam wtedy poszło?

— O to, że Heniek powiedział, że to ja podgrandziłem te korale. No to ja go w ucho, potem w szczękę, potem w dołek i tak już poszło. Najgorzej, panie kapitanie, jak ja się rozgrzeję. Walę i walę, przestać nie mogę. A jak ostygnę, to żałuję. Wtedy Heńka trochę za bardzo sponiewierałem. Przyznaję z ręką na sercu. Ale już wszystko załatwione, w porządku.

— Jak to było z tymi koralami? — spytał Wadzewski.

— To w ogóle było jedno wielkie nieporozumienie. Już ja o tym kilka razy milicji opowiadałem.

— Opowiedzcie jeszcze raz.

— Jak pan kapitan ma życzenie posłuchać, to dlaczego nie. No więc było tak... Robiliśmy na Bielanach u takiej babki, co się może w nocy człowiekowi przyśnić. Straszydło. Mogłaby z powodzeniem śmierać na jakich jasełkach przedstawiać. Widocznie oszczędza na artykułach spożywczych, bo chuda jak szczapa, tylko jej nos sterczy. Ale ostatecznie co mnie to obchodzi, jak klientka wygląda. Żenić się z nią nie muszę. Trzeba było kaloryfery naprawić, bo się zapowietrzyły i któryś prócz tego przeciekał. No to my z Heńkiem bierzemy się za robotę. Wyrzuchtowaliśmy wszystko w porządeczku, kościotrup zapłacił, jak było zgodzone i ni z tego ni z owego baba w krzyk, żeśmy jej pamiątkowe korale podgrandzili. Zadzwoiła po milicję. Przyjechał radiowóz. Zrewidowali nas i oczywiście nic nie znaleźli. Puścili. Ale ja niesłusznie podejrzewałem Heńka, bo on czasami lubi sobie pofiglować, tak dla sportu, dla hecy. A on znowuż przypuszczał, że to ja. Z tego powodu przemówiliśmy się i od słowa do słowa... A najlepszy kawał, że po jakimś czasie okazało się, że koralu nikt nie podgrandził. tylko stara gdzieś w mieszkaniu zadziała. Nawet potem dowiedziała się w komendzie naszych adresów i listy z przeprosinami nam przysłała, że to niby niesłusznie nas podejrzewała. Skleroza!

Henryk Kamiński potwierdził w całej rozciągłości opowieść swego kolegi, podkreślając, że rzeczywiście został pobity, ale że już nie ma żalu, że się pogodzili i w dalszym ciągu ranem pracują jako hydraulicy.

Wadzewski przesłuchiwał pogodzonych hydraulików każdego z osobna. Następnie posadził ich razem naprzeciwko swojego biurka. Chciał sprawdzić, jak się będą zachowywać, mając świadomość, że ten drugi

znajduje się w pobliżu i słucha. Rzucił jeszcze kilka pytań. Nic jednak podejrzanego nie zauważył. Na zakończenie spytał:

— Znacie Zenona Waciaszka?

— Znamy — odparł Kuleś.

— To on nam naraił tę cholerną robotę na Bielanych — dodał Kamiński. — Wolałbym tych paru złotych nie zarobić i nie mieć przykrości. Milicja, protokoły, przesłuchania. Na co mi to potrzebne? A na koniec się okazało, że koralu nikt nie podgrandził.

— Ecc... Bo najgorzej to mieć do czynienia z wariatami — skrzywił się Kuleś.

— Kogo macie na myśli?

— A kogóż by? Tę starą jędzę. Żaden normalny człowiek nie będzie latał codziennie rut po grze—

— Codziennie na pogrzeby? — zainteresował się Wadzewski.

— A żeby pan kapitan wiedział. Stara codziennie jest na czyimś pogrzebie. Tam na Bielanych to już ją wszyscy znają. Zresztą i Zenek mi mówił. Wadzewski był zaskoczony tą wiadomością.

— I po cóż ona chodzi na te pogrzeby?

— A czort ją wie, panie kapitanie. Wariatka. Inaczej tego nie sposób sobie wytłumaczyć. Kto by mi kazał chodzić na pogrzeby nieznajomych ludzi! Jeszcze na taką pogodę. Zwariowała na starość. No cóż, różnie bywa.

— A może ona jakąś specjalną funkcję pełni na cmentarzu? — zasugerował Wadzewski. — Może pilnuje grobów, sprząta, czyści?

— Żadnych grobów nie pilnuje — powiedział stanowczo Kuleś. — Idzie za trumną i na tym koniec. Udaje krewną albo przyjaciółkę nieboszczyka. Dziwactwo! Zupełnie tak, jak ja bym udawał milicjanta.

* *

*

Wadzewski nie żałował, że kazał sprowadzić do komendy znajomych Barbary Niedzickiej. To, co usłyszał, dało mu dużo do myślenia. Zaraz po tych przesłuchaniach wsiadł do swojej zastawy i pojechał na Bielany.

Pani Emilia była zajęta grabieniem gnijących liści. Połyszawszy skrzypnięcie furtki, podniosła głowę i utkwiała badawcze spojrzenie w nieznanym.

Wadzewski w pierwszej chwili trochę się speszył. Hydraulik miał rację. Nie trzeba było dużej, charakterystycznej, żeby ta kobieta odegrała rolę śmierci w tradycyjnych jasełkach.

— Czego pan sobie życzy? Szuka pan kogoś? Wadzewski uchylił kapelusza, wyjaśnił, kim jest i powiedział, że chciałby się widzieć z panią Emilią Grochowicką.

— Ja się tak nazywam — powiedziane to zostało głosem energicznym, a nawet trochę agresywnym.

Wadzewski uśmiechnął się uprzejmie.

— Milo mi panią poznać. Czy moglibyśmy zamienić kilka słów?

— A o co chodzi? Z tymi koralami już się wyjaśniło. Znalazłam je. Było mi przykro, że podejrzewałam tych ludzi; ale teraz nie można nikomu ufać. Gdzie się człowiek obróci, sami złodzieje.

Wadzewski nie miał zamiaru podejmować tego tematu. Znowu się uśmiechnął—

— Mnie nie chodzi o korale. Chciałbym panią uprzejmie prosić o chwilę rozmowy. Zapewniam, że nie zabiorę dużo czasu. Zawahała się.

— Odrywa mnie pan od mojej pracy.

— To naprawdę nie potrwa długo. Kiwnęła głową.

— No, dobrze. Proszę, niech pan idzie za mną.

Ruszyła energicznym krokiem w kierunku domu. Robiła wrażenie zawodowego kaprała, prowadzącego pluton piechoty.

Dłuższą chwilę szorował podeszwami o słomiankę. Wiedział, że starannym wyczyszczeniem butów można sobie zjednać sympatie każdej gospodyni. I rzeczywiście...

— Proszę, niech pan wejdzie — powiedziała już nieco łagodniej.

Znaleźli się w tym samym dużym pokoju, w którym tak niedawno Emilia rozmawiała z Irmą Garbiszewską. Gospodyni wskazała gościowi fotel, sama zaś usiadła sztywno na wyściełanym krzeselku. Nic zaproponowała kawy ani herbaty. Wyczuwało się, że pragnie tej wizycie nadać charakter ściśle urzędowy.

— Słucham? O co chodzi?

Wadzewski głowił się nad tym, jak trafić do tej baby. Chodziło mu właśnie o to, żeby tę rozmowę przeprowadzić w bardziej swobodnym nastroju, nie takim oficjalnym. Wyjął papierosa.

— Czy pani pozwoli, że zapalę?

— Proszę.

— A może panią poczęstować?

— Ja nie palę papierosów ani nie używam alkoholu — powiedziała, akcentując zdecydowanie każde słowo.

— A może pani dym przeszkadza?

— Przeszkadza, ale niech pan pali. Wsunął z powrotem paczkę papierosów do kieszeni.

— Właściwie ma pani rację. Nikotyna to trucizna.

Niecierpliwie poruszyła się na krześle.

— Może mi pan wreszcie zechce powiedzieć, o co panu chodzi? W jakim celu pan do innie przyszedł?

— Pragnę panią prosić o pomoc.

— O pomoc? Mnie? Bardzo wątpię, żebym była w stanie pomóc oficerowi milicji.

Wadzewski uśmiechnął się, jak umiał najbardziej czarująco.

— Czyżby pani nie lubiła oficerów milicji? Zmarszczyła brwi.

— To moja sprawa, kogo lubię, a kogo nie

—

lubię. A w ogóle niech pan zostawi te żarty. Proszę mówić krótko, o co panu chodzi?

— Prowadzę śledztwo w pewnej bardzo poważnej sprawie, w sprawie morderstwa. Zamordowano grabarza.

Nie zdołała zapanować nad ciekawością.

— Jak się nazywał ten grabarz?

— Walenty Kosiński. Może go pani знаła?

— Dlaczego pan sądzi, że ja mam znajomych wśród grabarzy?

— Słyszałem, że pani często odwiedza cmentarz.

Jak gdyby trochę się odprężyła. Jej oczy straciły agresywny blask.

— Każdy człowiek powinien nawiązywać kontakt ze śmiercią — powiedziała cicho. — Szczególnie w pewnym wieku — dodała po chwili.

Wadzewski wyczuł, że sytuacja zaczyna się trochę poprawiać. Należało tylko teraz nie spłoszyć tej dziwnej kobiety.

— Ma pani rację. W pośpiechu codziennego życia zbyt rzadko myślimy o tym, że trwa ono krótko i że w każdej chwili może — przyjść śmierć.

— W każdej chwili może przyjść śmierć — powtórzyła. — Trzeba o tym pamiętać. I nie wolno również zapominać nam o zmarłych. Tak.. Prawie codziennie jestem na cmentarzu, zanoszę kwiaty na groby, chodzę na pogrzeby, zapalam światła, obcuję z umarłymi. Pytał pan, czy znałam Walentego Kosińskiego. Oczywiście, że go znałam: Był wspaniały. To był święty człowiek.

—Zamordowano go — powiedział Wadzewski.

Przesunęła dłonią po czole, jakby budząc się z jakiegoś transu.

— Wiera. Zamordowali go. Łotry.

— Czy pani chciałaby, żeby zbrodniarze ponieśli zasłużoną karę?

Rysy jej twarzy zeszywniały, oczy nabrały ponurego, pełnego zawziętości blasku.

— Tak! Z całego serca pragnę, aby ponieśli zasłużoną karę, żeby zawiśli na szubienicy. Wiem, że Chrystus nakazał przebaczać swym wrogom, ale widocznie nie jestem prawdziwą chrześcijanką. Nic potrafię, nie mogę przebaczyć tym mordercom.

— Dlaczego pani mówi w liczbie mnogiej? — spytał ostrożnie Wadzewski. — Czy sądzi pani, że mordercą Kosińskiego nie był jeden człowiek?

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Przecież jeden człowiek nie zdołałby go powiesić na gałęzi tego drzewa. Musiało ich być więcej. Przynajmniej dwóch.

—Pani jest przekonana, że Walenty Kosiński nie popełnił samobójstwa?

Energicznie potrząsnęła głową.

— To absolutnie wykluczone! Walenty nigdy nie targnąłby się na swoje życie. Był człowiekiem głęboko wierzącym. Samobójstwo nie wchodzi w rachubę. Zresztą rozmawiałam z nim parę dni przed jego śmiercią. Miał różne plany...

— Plany?

— Mówił, że ma wiele pracy, ponieważ musi ratować ludzi przed wiecznym potępieniem.

— Jak w praktyce wyglądała tego rodzaju akcja? — zainteresował się Wadzewski.

Przyjrzała mu się podejrzliwie.

Czy pan nie za dużo chce wiedzieć? Wypytuje mnie pan tak, jakby to było przesłuchanie. Nie sądzę, żebym była obowiązana udzielać panu tych wszystkich informacji.

Uśmiechnął się.

— Oczywiście, że nie jest pani obowiązana rozmawiać ze mną. Przed chwilą jednak usłyszałem, że pragnie pani pomścić śmierć Walentego Kosińskiego. Nie muszę chyba tego tłumaczyć, że wszystkie informacje, jakich mi pani dostarczy, są dla mnie niezwykle cenne i mogą się przyczynić do zdemaskowania i ukarania morderców. Nikt przecież nie znał tak dobrze tego człowieka, jak pani.

— Trudno jest poznać samego siebie, a cóż dopiero mówić o innym człowieku — powiedziała cicho. Umilkła i przez chwilę kiwała głową, jakby potakując swym myślom. — Sądzę jednak, że ma pan rację. Chcąc odnaleźć tych zbrodniarzy, musi pan zebrać jak najwięcej informacji. O co pan pytał?

— Pytałem, na czym polegała—działalność Walentego Kosińskiego, zmierzająca do ratowania ludzi przed wiecznym potępieniem?

— Na to pytanie nie mogę dać wyczerpującej odpowiedzi, ojciec Walenty nie wtajemniczał mnie w te sprawy. Wiem tylko tyle, że jego podstawową zasadą było zmuszanie grzesznika do przyznania się do winy. Jeżeli na przykład był to morderca czy też złodziej okradający groby, to musiał udać się do komendy milicji i złożyć odpowiednie oświadczenie;

— A jeśli odmówił?

— Wtedy Walenty sam to robił. Zawiadamiał władze o popełnionym przestępstwie. Nie miało to oczywiście, jego zdaniem, tej wartości, co osobiste i dobrowolne przyznanie się do winy.

— Nic dziwnego, że miał wrogów. Czy pani podejrzewa kogoś o popełnienie tej zbrodni?

Zawahała się.

— No, cóż... Nie powinno się nikogo podejrzewać, nie mając dowodów, sądzę jednak, że to chyba zrobili ci, którzy okradają groby, hieny cmentarne. Walenty ze szczególną zaciekłością walczył z nimi. Nienawidził ich. I on także nie potrafił przebaczać tym zbrodniarzom. Ja go rozumiałam. Zakłócać spokój umarłym to chyba najpotworniejsza, najohydniejsza zbrodnia.

— To prawda, to wstrętny proceder — przytaknęła Wadzewski. — Ale czy pani mogłaby wymienić kogoś konkretnego, jakieś nazwisko?

Potrząsnęła głową.

— Skądże znowu. Nie sądzi pan chyba, że mam kontakty z tego rodzaju ludźmi?

— Ależ oczywiście, że panią o to nie podejrze—wam — zaprzeczył energicznie Wadzewski. — Zmieńmy wobec tego temat naszej rozmowy. Co jeszcze mogłaby mi pani powiedzieć o Walentym Kosińskim?

Wzruszyła ramionami.

— Bo ja wiem... To był niezwykle, a zarazem bardzo dziwny człowiek. Miał wyższe wykształcenie, znał języki obce, był wspaniałym erudytą—a jednocześnie pełnił funkcję zwykłego grabarza. Nie tylko oczywiście...

— A oprócz tego czym się jeszcze zajmował? — podchwycił pośpiesznie Wadzewski.

— Dbał o nasze dusze. Zbieraliśmy się tutaj... — urwała nagle. W jej oczach zabłysnął niepokój. — Za dużo mówię, stanowczo za dużo mówię. To pan... to pan jest temu winien — dodała oskarżającym tonem. — Nie powinnam... Nie powinnam! Pan jest typowym policjantem. Pan ze mnie to wszystko wyciąga. Nic rozumiem, dlaczego tak... — Umilkła. Widać było, że usiłuje się opanować.

Wadzewski odczekał chwilę i, zapominając, że „nikotyna to trucizna”, zapalił papierosa.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział łagodnie. — Nic chciałem pani zrobić przykrości. Wydaje mi się, że ciągle jeszcze niewłaściwie pani podchodzi do naszej rozmowy. Ja nie po to tu jestem, żeby w jakiś podstępny sposób wyciągać pewne informacje, ale po to, żeby rozwiązać zagadkę tajemniczej, tragicznej śmierci Walentego Kosińskiego. Niechże się pani uspokoi i niech pani będzie rozsądna. Wszystkie szczegóły dotyczące charakteru i życia zmarłego są dla mnie niesłychanie istotne. Więc zbieraliście się tutaj, ażeby odbywać pewnego rodzaju rekolekcje. Czy dobrze zrozumiałem? Z pewnym wysiłkiem poruszyła warstwy.

— Tak — wyszeptała. — Można to było nazwać rekolekcjami.

— Walenty Kosiński charakteryzował się — powiedział Wadzewski

Spojrzała na niego zaskoczona.

— Skąd pan wie?

— To proste. Przeszukując mieszkanie zmarłego, znaleźliśmy brodę, wąsy oraz peruki. Wszystko to oczywiście służyło mu do charakteryzacji. Prócz tego znaleźliśmy także habity franciszkańskie. Nietrudno więc było odgadnąć, że...

Pokiwała głową.

— Tak. Ma pan rację. No, cóż... Chyba nie ma sensu, żebym w tej sytuacji ukrywała to przed panem. Walenty przychodząc tutaj do mnie i rozmawiając z tymi ludźmi nie chciał, żeby go ktoś zidentyfikował jako grabarza. To rozumiałe.

— Tak. To rozumiałe — powtórzył Wadzewski. — Wiec ci ludzie zbierali się tutaj; w pani domu.

Znowu zobaczył w jej oczach nieufność i niepokój.

— Zebrania te miały charakter ściśle prywatny, towarzyski. Nigdy nie brało w nich udziału więcej niż kilkanaście osób. Rozmawialiśmy o sztuce, o literaturze. Dyskutowaliśmy na tematy filozoficzne... religijne...

Wadzewski uśmiechnął się.

— Widzę, że pani ciągle się czegoś boi. Dlaczego? Mnie naprawdę nie chodzi o nic innego, jak tylko o to, żeby możliwie dokładnie poznać środowisko Walentego Kosińskiego. Ani ja, ani w ogóle nikt nie może mieć do pani pretensji o zebrania towarzyskie, na których roztrząsa się problemy filozoficzno—religijne. Zupełnie niepotrzebnie nieustannie jest pani jakaś spłoszona.—Niechże pani będzie rozsądna i niech się pani całkowicie odpręży. Powtarzam raz jeszcze, że przyświeca nam wspólny cel. Oboje pragniemy odnaleźć i ukarać morderców Walentego Kosińskiego.

— Ma pan rację. Ale... proszę zrozumieć... To i są takie stare nawyki, kiedy każdy kontakt z przedstawicielem władzy...

— Proszę mi z łaski swojej powiedzieć — przerwał Wadzewski, który nic chciał wdawać się w szczegółową analizę starych nawyków pani Emilii Grochowickiej — czy wśród tych ludzi, którzy się tutaj, u pani, zbierali, był może ktoś, kto niechętnie, a nawet wrogo odnosił się do Walentego Kosińskiego?

Nie zaprzeczyła, ale nie od razu odpowiedziała na pytanie. Umilkła, unikając wzroku swego rozmowcy. Wadzewski nie śpieszył się. nic przynaglał, czekał.

— Czy w dalszym ciągu obawia się mnie pani? — spytał po dłuższej chwili

— To nieprawda! To nie może być prawda! To kłamstwo! — wybuchnęła nagle z niespodziewaną gwałtownością. — On nie jest mordercą!

Wadzewski nie ukrywał zdziwienia.

— O kim pani mówi? — spytał.

— Dominik nie popełnił tej zbrodni! Jestem głęboko przekonana, że jest niewinny. On nie jest zdolny do takiego czynu. On nie jest zdolny skrzywdzić najmniejszego nawet robaczka, pan nic ma prawa go podejrzewać!

— Ależ ja nikogo nie podejrzewam — zaprzeczył energicznie Wadzewski. — W ogóle nie mam pojęcia, o kim pani mówi. Kto to jest ten jakiś Dominik?

Pociągnęła dłonią po czole i zamknęła oczy. Kiedy je znowu otworzyła, wyglądała jak człowiek budzący się z głębokiego snu.

— Przepraszam. Ostatnio jestem straszliwie przewrażliwiona. Nerwy odmawiają mi posłuszeństwa. Przepraszam.

— Nk potrzebuje mnie pani przepraszać — zapawrdt skwapliwie Wadzewski. — Doskonale rozumiem, że ostatnie wypadki mogły fatalnie wpłynąć na stan pani nerwów. Czy byłaby pani skłonna powiedzieć mi, kim jest ten człowiek, którego pani nazywa Dominikiem? Może mi pani poda jego nazwisko.

Wyschnięta twarz, której rysy przez moment jakby nieco złagodniały, znowu była pełna napięcia. W ciemnych oczach błysnęła nieufność.

— Po co to panu? Dlaczego pan chce, żebym powiedziała jego nazwisko?

— Ponieważ miałbym ogromną ochotę porozmawiać trochę z panem Dominikiem.

— O czym pan chce z nim rozmawiać?

— O Walentym Kosińskim, oczywiście.

— Pan jednak podejrzewa Dominika, że...

— Niechże pani będzie rozsądna — powiedział z prośbą, w głosie Wadzewski. — Jakżeż ja mogę o cokolwiek podejrzewać człowieka, którego nigdy nie widziałem i o którym absolutnie nic nie wiem. Przecież to nonsens.

Skinęła głową..

— Ma pan rację. Plotę głupstwa. Ale widzi pan... Nie chciałabym, żeby Dominik miał jakieś przykrości. On jest taki przewrażliwiony... W czasie wojny był kontuzjowany i od tamtej pory... Nie, nie... to zupełnie normalny człowiek — dodała pośpiesznie, jakby w obawie, że jej słowa zostaną niewłaściwie zrozumiane — tylko po prostu stan jego nerwów... Zresztą my wszyscy, którzy przeżyliśmy ostatnią wojnę, okupację, obozy...

— To oczywiste — przytaknął pośpiesznie Wadzewski. Od dłuższego czasu mobilizował całą swą cierpliwość, — ażeby z niezbędnym taktem prowadzić tę rozmowę. — Więc jak nazywa się ten pani znajomy?

— Trudno. Powiem — zdecydowała się. — Nazywa się Czebanowicz, Dominik Czebanowicz. Ale nie zrobi mu pan krzywdy, prawda?

— Nie mam najmniejszego zamiaru — zapewnił Wadzewski. — Więc pan Dominik Czebanowicz był tutaj na tych zebraniach dyskusyjnych.

— Właściwie to on to wszystko zorganizował. Wadzewski spojrzał zdziwiony.

— Sądziłem, że Kosiński.

— Nie. Dominik podjął tę piękną inicjatywę. To człowiek bardzo światły, o dużym wykształceniu. Skończył wydział teologiczny, historię filozofii. On był promotorem naszych zebrań.

— A Kosiński?

— Walenty pojawił się znacznie później. Kiedyś Dominik poważnie zachorował i przez szereg miesięcy nie mógł przychodzić. Wyjechał do sanatorium. Wtedy jedna z moich przyjaciółek zaproponowała, żeby namówić jej szwagra, Walentego Kosińskiego...'

— A kiedy Dominik wyzdrowiał...

— Właśnie — mówiła dalej pani Emilia. — Kiedy Dominik wyzdrowiał i do nas wrócił, zaczęły się pewne komeraże.

— Jakiego rodzaju? Na czym to polegało?

— No, po prostu... Ale czy ja naprawdę muszę pana we wszystko wtajemniczać?

— Skoro pani już tyle mi opowiedziała... — uśmiechnął się zachęcająco Wadzewski.

— Właściwie ma, pan rację. Jeżeli już tyle powiedziałam. No więc... Takżeśmy to wszystko ułożyli, że raz miał prelekcję Dominik, następnym razem Walenty. Bardzo często dochodziło między nimi do ostrej wymiany zdań, ponieważ w różnych sprawach nie zgadzali się ze sobą, mieli inne, poglądy, inne opinie. Sprawa interpretowania Pisma Świętego nie jest rzeczy, prostą. Prócz tego różnili się poglądami na filozofię Tomasza z Akwinu.

— Czy wzajemna niechęć Walentego Kosińskiego i Dominika Czebanowicza była spowodowana wyłącznie różnicą zdań co do interpretacji Pisma świętego oraz różnych problemów filozoficznych? — spytał ostrożnie Wadzewski.

Zawahała się.

— Bo ja wiem... Myślę, że nic tylko to było powodem ich wzajemnej niechęci.

— A co?

Przyjrzała mu się uważnie.

— Pan jest niesłychanie natrętny, panie kapitanie. Czy ja muszę odpowiadać na te wszystkie pańskie pytania?

Z pozorną obojętnością wzruszył ramionami.

— Już mówiłem, że rzeczywiście nie, ale wydawało mi się, że w końcu doszliśmy do porozumienia i że oboje, wspólnie dążymy do wykrycia morderców Walentego Kosińskiego.

— O co pan pytał?

— O to, co prócz różnic w interpretowaniu Pisma Świętego było powodem antagonizmu pomiędzy Walentem Kosińskim a Dominikiem Czebanowiczem?

— Zazdrość.

— Zazdrość? Wadzewski nie ukrywał zdziwienia. — Nie bardzo panią rozumiem. Czyżby chodziło o kobietę?

Roześmiała się. Jej śmiech miał w sobie coś niesamowitego.

— O kobietę? Pan żartuje. Nie o kobietę, panie kapitanie. W grę wchodziła ambicja.

— Nie rozumiem.

Przestała się śmiać. Wyschnięta twarz zmarszczyła się gwałtownie.

— Czego pan nie rozumie?! To przecież jasne Walenty umiał mówić, porywał audytorium, hipnotyzował słuchaczy. Jego prelekcje były pasjonujące, pełne ognia, pełne namiętności

— A Dominik... — podsunął Wadzewski.

— Dominik mówił sucho, bardzo rzeczowo, ale nudnie To jest typowy profesor, teoretyk. Posługuje się zawiłymi zwrotami, używa długich okresów stylistycznych. W tym, co mówi, nie ma życia. Jest dużo wiedzy, ale nie ma życia. Rezultat był taki, że na prelekcje Walentego uczęszczało bardzo wielu ludzi, a kiedy przychodziła kolej na Dominika, pojawiała się zaledwie parę osób, W tej sytuacji...

— Dominik zaczął nienawidzić Walentego — dokończył Wadzewski

Rozdział IV

Wadzewski nie tak sobie wyobrażał badacza pism świętego Tomasza z Akwinu. Będąc pod wrażeniem rozmowy z panią Emilią Grochowiecką sądził, że będzie miał do czynienia z jakimś wychudzonym ascetą, o pałających fanatyzmem oczach. Tymczasem w głębokim, wygodnym fotelu siedział przed nim potężnie zbudowany mężczyzna, ważący bez wątpienia ponad sto kilogramów. Szerokie bary, muskularny kark oraz okazałe bicepsy, rysujące się pod tweedową, trochę za ciasną marynarką, zdradzały niepospolitą siłę. Szare sztruksowe spodnie opinały się niepokojąco na wystającym brzuchu. Nie, to stanowczo nie był typ ascety, negującego uciechy natury cielesnej. Dominik Czebanowicz robił wrażenie człowieka lubiącego dobrze zjeść i wypić. Mocno zarysowane worki pod oczami świadczyły o nie najlepszym stanie wątroby.

Przez chwilę obserwował uważnie swojego gościa. W jasnoniebieskich oczach można było dostrzec wyraz pogardliwej niechęci.

— Więc pan jest z milicji. Kto pana do mnie przysłał?

— Pani Emilia Grochowiecka.

— Stara wariatka. A o co panu właściwie chodzi? Czego pan chce ode mnie?

Wadzewski wyjaśnił, że prowadzi śledztwo, w sprawie Walentego Kosińskiego i że właśnie jest w trakcie gromadzenia materiału informacyjnego.

— Odwiedzam wszystkich, którzy rnieli coś wspólnego ze zmarłym.

Czebanowicz kiwał głową, pociągnął wierzchem dłoni po starannie wygolonym potrójnym podbródku i powiedział z nutą pewnego rozmarzenia w głosie:

— Tak, wiem, że Kosiński nie żyje. Powiadają nawet, że ktoś go zamordował.

— To bardzo prawdopodobne — przytaknął Wadzewski. — W związku z tym pozwoliłem sobie odwiedzić pana.

Czebanowicz uśmiechnął się i sięgnął po papierosy leżące na owalnym stoliku. : — Czyżby mnie pan podejrzewał o popełnienie tej zbrodni, panie kapitanie?

Wadzewski nie podjął żartobliwego tonu. Z wieloletniego doświadczenia wiedział, że często ludzie usiłują stworzyć „dymną zasłonę”, posługując się dowcipem, lekkim, nieco kpiącym sposobem wypowiedzania myśli.

— Jest pan w błędzie. Na obecnym etapie śledztwa jeszcze nikogo nie podejrzewam. Jak już wspomniałem, zbieram materiał informacyjny, dotyczący Walentego Kosińskiego. A ponieważ pan znał tego człowieka...

— To prawda. Znałem go.

— Co pan może o nim powiedzieć? Czebanowicz głęboko zaciągnął się dymem.

— podobno nie należy źle mówić o zmarłych.

— Dajmy spokój tego rodzaju banalnym powiedzonkom — skrzywił się Wadzewski. — W tej chwili interesuje mnie absolutnie wszystko, co dotyczy Walentego Kosińskiego. Chciałbym, żeby mi pan powiedział, jaki on był.

Czebanowicz z wyraźną pasją zgniótł w popielniczce nie dopalonego papierosa.

— Szarlatan! Podły, podstępny szarlatan! Tak, ma pan rację, że mnie pan podejrzewa o to zabójstwo.

— Powiedziałem już panu, że ja — nikogo nie podejrzewam — zaprzeczył energicznie Wadzewski. — Absolutnie nikogo. Niechżeż pan wreszcie przyjmie to do wiadomości.

Tłusta twarz Czebanowicza nabiegła krwią. Niebieskie oczy pociemniały tak, że stały się prawie czarne.

— Nienawidziłem go. Nieraz opanowywało mnie niepoohamowane pragnienie, żeby zniszczyć, zniwieczyć, zetrzeć w proch jak gadzinę. Wiem, że to paskudne, grzeszne uczucie, ale nic umiałem mu się oprzeć.

— Kim pan jest z zawodu? — spytał niespodziewanie Wadzewski.

Czebanowicz zamrugał oczami jak człowiek wyrwany nagle z głębokiego snu.

— Nie rozumiem.

— Kim pan jest z zawodu? — powtórzył pytanie Wadzewski,

— Dlaczego to pana interesuje? Wadzewski uśmiechnął się łagodnie.

— Pytając pana o to, nie miałem żadnego specjalnego celu. Ot, po prostu zwykła ciekawość. Sądząc z fotografii, które wiszą na ścianach pańskiego pokoju...

— Tak. Służyłem kiedyś w marynarce wojennej — Czebanowicz powiódł wzrokiem po pamiątkowych zdjęciach. — Dawne czasy, bardzo dawne...

— Zdaje się, że studiował pan także teologię.

— Powiedziała to panu oczywiście ta stara wariatka. Owszem, studiowałem w młodych latach teologię oraz historię filozofii. Potem wstąpiłem do marynarki. Przez całą wojnę pływałem, brałem udział w wielu bojowych akcjach. Zabijałem ludzi. Czy pan wie, co to znaczy zabijać ludzi, których się nie zna, o których się nic nie wie, do których się nie ma żadnych pretensji? Co pan może wiedzieć o tych sprawach? Pan jest jeszcze bardzo młodym człowiekiem. Miał pan kilka lat, jak wybuchła wojna. To dla pana historia, taka sama jak panowanie Aleksandra Macedońskiego.

— Może niezupełnie — zaoponował ostrożnie Wadzewski. — Ale wróćmy do Walentego Kosińskiego. Z tego, co przed chwilą usłyszałem, wynika, że pan go nienawidził, ale nie bardzo rozumiem, dlaczego?

Czebanowicz zapalił nowego papierosa. Widać było, że usiłuje utrzymać nerwy na wodzy. Podniósł się z niespodziewaną jak na taką tuszę lekkością, podszedł do szafy z książkami i spośród grubych tomów wyjął butelkę koniaku i dwa kieliszki.

— Napije się pan? Wadzewski potrząsnął głową.

— Bardzo dziękuję, ale nie używam alkoholu. Czebanowicz wzruszył potężnymi ramionami.

— Nie, to nie. Nie mam zwyczaju namawiać do picia. Ale ja sobie łyknę kropelkę. — Napełnił kieliszek. Solidna porcja pięciogwiazdkowego koniaku zniknęła błyskawicznie w potężnej gardzieli. — Zaraz się lepiej czuję. Nawet lekarz zalecił mi od czasu do czasu odrobinę koniaku.

Wadzewski był przekonany, że lekarz zapewne miał na myśli nieco mniejsze dawki tego leczniczego trunku, ale nie zdradził się ze swoimi wątpliwościami.

— Mówiliśmy o Walentym Kosińskim. Czebanowicz przechylił się i zaczął wpatrywać się w sufit.

— Panie świeć nad jego duszą — powiedział cichym, spokojnym głosem. Niedawne podniecenie zniknęło bez śladu. — Nie żyje. No, cóż... Prędzej czy później każdego z nas to czeka. Wybaczam mu. Niech spoczywa w spokoju. Bóg niech go sędzi. Ja już nie powinienem żywić do niego urazy.

— Czy można wiedzieć, co było faktyczną przyczyną konfliktu pomiędzy panem a Walentym Kosińskim?

Czebanowicz spojrział energicznie na swego rozmówcę i zmarszczył brwi

— Ten człowiek zepsuł całą moją robotę. Poprzewracał w głowach tym głupcom, którzy dali się omać jego pięknymi słówkami. To był, panie, demagog, urodzony demagog! Gdyby chciał, mógłby porwać za sobą tłumy. Ale to jeszcze nic. Najgorsze było to, że głosił fałsz, że wypaczał najpiękniejsze idee, najwspanialsze myśli. Czy pan sobie może wyobrazić, że ten nieuk, ten dyletant miał czelność krytykować prawdy głoszone przez świętego Tomasza z Akwinu, że nic zgadzał się z jego nauką o bycie, że...

— Wspominała mi coś na ten temat pani Grochowiecka — wtrącił Wadzewski obawiając się, że wykład o życiu i działalności filozoficznej świętego Tomasza z Akwinu może przeciągnąć się do późnych godzin nocnych.

— Stara kretynka... — mruknął ze złością Czebanowicz. — O niczym nie ma zielonego pojęcia, a usiłuje uchodzić za osobę ogromnie światłą. I ona także pozostawała pod wpływem tego szarlatana. W rozmowie ze mną przyznawała mi rację, ale jak tylko pojawiał się Walenty... Niech mi pan wierzy! Ten człowiek stał się przekleństwem całej naszej grupy. Miał w tobie coś tak sugestywnego, że mógł ludziom narzucić nawet kult szatana.

Wadzewski nie chciał dopuścić do nowego wybuchu. Postanowił załagodzić trochę sytuację.

— Wdzięczny jestem, że pan mnie zechciał zaznajomić nawet zupełnie pobieżnie z pewnymi problemami. Te różne filozoficzne teorie ogromnie mnie interesują. Niestety brak mi czasu na bardziej wnikliwe studia.

Czebanowicz wyciągnął rękę i ujął dłoń swego rozmówcy muskularnymi palcami.

— I jeszcze jedna sprawa, panie kapitanie. To był człowiek niemoralny.

— Walenty Kosiński? Niemoralny? — zdziwił się Wadzewski

— Oczywiście. W wysokim stopniu niemoralny. Czy pan wie, że on porzucił habit zakonny dla kobiety?

— Słyszałem coś na ten temat

— A potem uwodził różne kobiety. Miał na nie ogromny wpływ. Podobno ostatnio romansował z jakąś cudzoziemką.

— Z cudzoziemką? Jakiej była narodowości?

— Tego panu nie powiem, bo nie wiem. Obiło mi się o uszy. W każdym razie to nie byś człowiek taki święty, jakim go pragnie przedstawić pani Grochowiecka. Daleko mu było do świętości.

— Czy Kosiński pił?

— Bardzo umiarkowanie używał alkoholu. W żaden sposób nie można powiedzieć, żaby miał pociąg do wódki.

— Zapytałem o to dlatego — mówił dalej Wadzewski — że Walentego Kosińskiego znaleziono wiszącego na gałęzi drzewa, na cmentarzu. Obok leżała przewrócona ławka i pusta butelka po wódce.

— Czy jest pan pewien, panie kapitanie, że to nie było samobójstwo? — spytał Czebanowicz.

— Jestem pewien.

— Na czym pan opiera to swoje twierdzenie? Wadzewski pokręcił głową.

— Pan wybaczy, ale to są już takie nasze służbowe tajemnice

— Rozumiem — uśmiechnął się Czebanowicz. — ściśle tajne, przed przeczytaniem spalić. Cofam moje pytanie i przepraszam.

Wadzewski nie zareagował. Nie odpowiedział na uśmiech.

— Co pan jeszcze mógłby powiedzieć na temat Walentego Kosińskiego?

Potężne ramiona poruszyły się w niecierpliwym geście.

— Powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia. Mogę chyba jeszcze dodać, że właściwie nigdy nie uważałem go za człowieka zupełnie normalnego.

— Dlaczego uważał pan Kosińskiego za niezupełnie normalnego?

Czebanowicz wydał swe grube, zmysłowe wargi.

— Ten człowiek miał wyższe wykształcenie. Czy pan słyszał kiedy o grabarzu z tytułem magistra praw?

— To rzeczywiście dosyć niezwykle ujęcie dla prawnika — przyznał Wadzewski — Co prawda powiadają, że żadna praca nie hańbi, ale...

Czebanowicz machnął ręką.

— Dajmy już spokój Kosińskiemu. Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki wieków. Amen. Czy pan jeszcze chciałby mnie o coś zapytać?

— To chyba byłoby już wszystko. Dziękuję panu za rozmowę.

Wyszedłszy a mieszkania Czebanowicza, Wadzewski rozmyślał nad tym, w jakim stopniu eks—marnarz został obdarzony przez naturę zdolnościami aktorskimi.

* *

*

Wadzewski skończył mówić i zapalił papierosa.

— Teraz widzisz, jak to wszystko wygląda. Bądź tu mądry.

Rozłak pokiwał głową.

— Szmerglowe towarzystwo— Nie da się zaprzeczyć. Co myślisz o tym marynarzu, który został kaznodzieją?

— Diabli go wiedzą. Muszę ci się przyznać, że niezupełnie go rozgryzłem. Nie jestem pewien, w jakim stopniu facet zgrywał się przede mną.

— Tego chyba nigdy nic można być na sto procent pewnym — powiedział Koźlak — szczególnie jeżeli się ma do czynienia z ludźmi, którym się to i owo przestawilo. Wiadomo przecież, że najłatwiejszą taktyką obrony jest udawanie wariata albo chociaż takiego ciut szurniętego. W takich wypadkach nawet fachowa ekspertyza psychiatrów przeważnie nie daje żadnych rezultatów. Każdy z tych uczonych ma swoje zdanie, oczywiście odmienne od zdania kolegi. Wspomniałeś, że facet był marynarzem.

— Tak.

— A pamiętasz, że koniec sznura, na którym wisiał Kosiński, był zawiązany na tak zwany marynarski węzeł?

— Oczywiście, że pamiętam — uśmiechnął się Wadzewski. — Ale musisz przyznać, że to dosyć wątła poszlaka. Tak wiązać sznur może nauczyć się każdy. A jeżeli chodzi o marynarzy, to mamy już dwóch na tapecie.. Widziałeś przecież lego goryla, którego żeśmy tutaj przesłuchiwali. Jakże mu tam? Małecki, Eugeniusz Małecki. I on także we wczesnej młodości służył w marynarce handlowej. Sprawdziłem. Wywalili go za jakąś kradzież, ale wiązać liny pewnie zdążył się nauczyć. Ten kaznodzieja bardzo mi go z budowy przypomina. Każdy z nich mógłby wciągnąć na gałąź nie jednego, ale trzech Kosińskich. Czebanowicz tylko bardziej jest spasiony. Solidny ma brzuch. Od razu widać, że lubi dobrze zjeść i wypić, jak przystało na badacza pism Ojców Kościoła.

— Nie bajeruj — roześmiał się porucznik.

— Ani mi się śni — zaoponował Wadzewski. — Sądzę, że każdy badacz prowadzi siedzący tryb życia, a jeżeli mu apetyt dopisuje...

— Tobie natomiast, zdaje się, humor dopisuje — powiedział Koźlak. — Przyznaj się, — czyżbyś był już na tropie mordercy albo morderców?

Wadzewski potrząsnął głową i uśmiechnął się melancholijnie.

— Niestety. Muszę cię rozczarować. Nie jestem na żadnym tropie. Jeszcze nie.

— To znaczy, że jednak coś zaczynasz kojarzyć.

— No cóż... Kojarzenie faktów to właściwie podstawa naszej roboty. Ale z tego muszą wypływać konkretne i prawidłowe wnioski. A tu wszystko idzie zbyt ślamazarnie.

— Co wobec tego proponujesz?

Wadzewski wyjął z szuflady kartkę papieru i długopis.

— Spróbujemy sobie uporządkować z grubsza te wszystkie pogawędki, które przeprowadziliśmy z ludźmi związanymi w jakiś sposób z Walentym Kosińskim. A więc na pierwszy plan wysuwają się hyeny cmentarne: Marian Wyłka, Eugeniusz Małecki oraz Zenon Waciaszek. Wszyscy trzej niewątpliwie mieli ogromną ochotę odegrać się na Kosińskim,

— Wydaje mi się, że nie zrobiliby tego tak zaraz po wyjściu z pudła — zauważył Koźlak. — Odczekaliby dłuższy czas.

— Rozumowanie logiczne — przyznał Wadzewski. — Nie zapominaj jednak, że to ludzie prymitywni, nie umiejący panować nad chwilowymi stanami emocjonalnymi. Można sobie wyobrazić, że przez wszyst-

kie te lata, kiedy siedzieli w celi więziennej, o niczym innym nie marzyli, tylko o tym, żeby się zemścić na grabarzu—intelektualiście. Ale jedźmy dalej! Następnie mamy na tapecie to całe zwariowane towarzystwo, dyskutujące na tematy religijno—filozoficzne. Tutaj na pierwszy—plan wysuwa się Dominik Czebanowicz, bynajmniej nie ukrywający swojej niechęci, a nawet nienawiści do Kosińskiego.

— Z tego, co mi opowiedziałeś, wynika, że facet może trochę za bardzo afiszuje się ze swymi uczuciami. Gdyby to on był mordercą, chyba nie śpieszyłby się z manifestowaniem tej nienawiści.

Wadzewski pokręcił głową.

— No, cóż... Może to być z jego strony zręczna taktyka. Kto wie, czy właśnie nie liczył na to, że ja pójdę po Unii twojego rozumowania.

— Masz rację. Tego nie sposób wykluczyć— przytaknął Koźlak. — To byłoby bardzo chytre posunięcie. Czy uważasz, że wystarczyłoby mu inteligencji na taką grę?

— Na pewno — powiedział z przekonaniem Wadzewski. — To człowiek obdarzony dużym sprytem i inteligencją. Bardzo możliwe, że w gruncie rzeczy wcale nie jest takim zwariowanym badaczem pism świętego Tomasza z Akwinu, za jakiego pragnie uchodzić.

— Skontaktowała cię z nim ta stara wariatka. — Tak. Pani Emilia Grochowiecka. Niezmiernie interesujący typ jakiejś przedziwnej mistyczki.

Fanatyczka, znajdująca się na granicy patologii.

Sądząc z jej reakcji, można by przypuszczać, że podejrzewa Dominika Czebanowicza o popełnienie tej zbrodni. W czasie naszej rozmowy wybuchnęła gwałtownie, twierdząc, że Dominik nie jest mordercą. Byłem nawet trochę zaskoczony tą niezwykłą sceną.

— Dowiedziałeś się jeszcze czegoś ciekawego od pani Grochowieckiej?

— Przede wszystkim trochę zapoznałem się z tym niesamowitym środowiskiem. A także, co nie jest bez znaczenia, dowiedziałem się, że Walentego Kosińskiego przyprowadziła na owe teologiczno—filozoficzne dyskusje jego szwagierka.

— Czyli żona Konstantego Garbiszewskiego — uzupełnił Koźlak.

— Właśnie. Żona Konstantego. Garbiszewskiego, ciotecznego brata Kosińskiego.

— Widziałeś tę kobietę?

— Tylko przelotnie, w hallu, wychodząc po rozmowie z Garbiszewskim. Bardzo ładna, można nawet powiedzieć, że piękna— Miałbym ogromną ochotę zamienić z nią parę słów.

— Czy wyłącznie służbowo? — uśmiechnął się Koźlak.

— Nie bądź zbyt domyślny. Ale żarty na bok. To mogłoby być dla nas rzeczywiście cenny kontakt. Nie mam tylko pojęcia, jak do tego podejść. Nie chciałbym tak oficjalnie.

— A może ja bym ją poderwał? — zaproponował Koźlak.

— Dewotka. Albo siedzi w kościele, albo chodzi na te ich wieczory dyskusyjne.

— To mogłoby być interesujące — uśmiechnął się Koźlak. Jeszcze nigdy nie flirtowałem z dewotką. Ale swoją drogą niezwykle, jak to się dzieje, że w dzisiejszych czasach młoda, i jak twierdzisz, bardzo ładna kobieta przesiaduje w kościele? Coś się musi za tym kryć. To nie jest naturalne.

Wadzewski pokiwał głową.

— Zgadzam się z tobą. To rzeczywiście nic jest normalne. No cóż... Nie będziemy bawić się w domysły. Może jakieś bardzo ciężkie przeżycie albo po prostu pewne odchylenia patologiczne? Gdyby ci się uda-

ło nawiązać z nią nieoficjalny kontakt, nie byłoby źle. Mnie już widziała, więc moja osoba nie wchodzi w rachubę. Na razie jednak mam dla ciebie inne bojowe zadanie. Otóż... ci trzech złodzieje, których żeśmy tu przesłuchiwali, zostali wypuszczeni z więzienia w połowie listopada, dokładnie trzynastego. Chciałbym, żebyś sprawdził, czy od trzynastego listopada do czwartego grudnia, to znaczy do daty śmierci Kosińskiego miały miejsce naruszenia grobów. O ile pamiętasz, każdy z tych drabów twierdził, że Kosiński także potrafił otworzyć trumnę na cmentarzu.

— Doskonale pamiętam, obu nas to zaskoczyło — powiedział Koźlak. — Ale przyznaję, że nie przywiązywałem do tego zbyt wielkiej, wagi. Chyba jednak niesłusznie. Ten szczegół może mieć dość istotne znaczenie dla sprawy.

Wadzewski poklepał porucznika po ramieniu.

— Cieszę się, że samodzielnie doszedłeś do takiego wniosku. A—więc ustalamy, że sprawdzisz, czy w okresie od trzynastego listopada do czwartego grudnia zostały naruszone groby przez hieny cmentarne, a jeżeli tak, to czyje groby i gdzie położone. Dokładna lokalizacja.

— Czy to już wszystko?

— Niezupełnie. Chciałbym także, żebyś zebrał, bardzo dyskretnie oczywiście, trochę informacji, dotyczących osoby pana inżyniera Konstantego Garbiszewskiego.

— Czyżbyś podejrzewał ciotecznego braciszka? Wadzewski uśmiechnął się.

—Mój drogi, mam wrażenie, że zapominasz o podstawowych zasadach obowiązujących w prowadzeniu śledztwa. Podejrzewać należy absolutnie wszystkich, przynajmniej w pierwszym etapie pracy dochodzeniowej. A jeżeli w grę wchodzi tak poważne przestępstwo jak morderstwo, to tej zasady trzeba się trzymać bardzo rygorystycznie. Wiesz przecież, jakie zdarzają się niespodzianki. Nagle się okazuje, że pobożna staruszka...

— Widzę, że jesteś dzisiaj w nastroju wyjątkowo dydaktycznym — przerwał Koźlak. — Ale w zasadzie przyznaję ci rację, temu architektowi także musimy się przyjrzeć.

— I jeszcze jedna sprawa.

— Jeszcze?

— Tak. W czasie wizyty u inżyniera Garbi—szewskiego miałem okazję przyjrzeć się jego gosposi czy też pokojówce. Młodziutka dziewczyna, ładna. Porusza się zgrabnie, ale brak jej pewnego wyrobienia. Odniosłem wrażenie, że chyba niedawno pracuje u Garbiszewskich.

— Chcesz, żebym flirtował jednocześnie i z panią, i z pokojówką? — spytał Koźlak. — Czy nie masz przypadkiem zbyt wygórowanych wymagań?

— Nie, do tego cię nie zachęcam. Chciałbym natomiast, żebyś się dyskretnie dowiedział, kto przedtem był gosposią w tym domu.

Koźlak pokiwał głową.

— Rozumiem. Gosposia jest zawsze najcenniejszym źródłem informacji.

— Znam różne inne cenne źródła informacji. Ale nie wdawajmy się w szczegóły. Bardzo bym się cieszył, gdybyś się energicznie zabrał do roboty.

— Z tego widzę, że ty zamierzasz wyjechać na urlop.

Rozdział V

Koźlak miał kwaśną minę. Nie robił wrażenia zadowolonego z siebie.

— No i co? Są dla mnie jakieś wiadomości? — spytał Wadzewski.

Porucznik kichnął potężnie i starannie wytarł nos dużą, kolorową chustką.

— Cholernie się zakatarzyłem. Powinienem dostać zwolnienie na parę dni. W czasie wykonywania służbowych obowiązków tak przemarzłem, że... No widzisz, jak wyglądam.

— Nie rozumiem, o co chodzi. Koźlak znowu kichnął.

— Kazałeś mi czarować tę piękną damę, nawiązać kontakt, zdobyć informacje...

— No i co? Zawarłeś znajomość z panią Garbiszewską?

— Diabła tam. Wystąpiłem się tylko pod jej domem, straciłem kupę czasu w różnych kościołach i nic z tego.

— Nic? — zdziwił się Wadzewski. — Zawsze słyszałem, że dla ciebie to betka poderwać atrakcyjną babkę.

Porucznik skrzywił się, ale tym razem nie kichnął. Odetchnął głęboko.

— Na ogół w dzisiejszych czasach nie ma większych trudności z podrywaniem. Kobiety tylko na to czekają. Ale w tym wypadku... Próbowałem wszystkich znanych mi chwytów. Nic wychodzi. Nie i nie...

— W ogóle nie chciała z tobą rozmawiać?

— Żebyś wiedział, że nie chciała! Odpaliła mnie z miejsca. Powiedziała, że nie ma zwyczaju zawierania znajomości na ulicy.

— Toś ty ją na ulicy podrywał?

— A gdzie miałem podrywać? Próbowałem na ulicy, w kościele, przed kościołem, w kawiarni. Nie wchodzi w rachubę. Może ty byś spróbował?

Wadzewski uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Zbyt wielu adoratorów. To mogłoby się jej wydać podejrzane. Zresztą mówiłem ci przecież, że mnie widziała, jak wychodziłem z gabinetu jej męża. A czy oprócz kataru zdobyłeś także jakieś wiadomości.

— Owszem — powiedział Koźlak i przetarł załzawione oczy. — Tamte sprawy były dużo łatwiejsze.

— Zbadałeś sprawę grobów?

— Tak. W okresie od trzynastego listopada do czwartego grudnia zostały naruszone dwa groby.

— Wiesz, czyje?

— Oczywiście. — Porucznik wyjął z kieszeni gruby notes i zaczął przewracać kartki. — A więc... Kazimierz Przewłocki, emeryt, lat osiemdziesiąt cztery, pochowany siedemnastego listopada. Naruszenie grobu nastąpiło w nocy z dziewiętnastego na dwudziestego listopada. Możemy to zresztą dokładnie sprawdzić w komendzie dzielnicowej.

— A drugi wypadek?

— Cudzoziemka, Amerykanka. Lat czterdzieści dziewięć.

— Nie chodzi mi o jej wiek — zniecierpliwiał się Wadzewski. — Nazwisko!

— Patrycja Axley. Podobno Polka z pochodzenia. Mówili mi w zarządzie cmentarza, że zostawiła większą sumę, żeby ją pochować i postawić pomnik. Chciała być tutaj pochowana.

— Interesujące — powiedział Wadzewski. — Bardzo interesujące. Czyżby spodziewała się śmierci? Jeszcze młoda kobieta. Dowiedziałeś się, gdzie mieszkała?

— Wynajmowała w „Forum” apartament. Duża forsa. Ale i z dużą forszą ludzie przenoszą się na tamten świat. Na to nie ma mocnych. Żadne dolary nie pomogą.

Wadzewski nigdy jeszcze nie widział porucznika w tak melancholijnym nastroju. Przyjrzał mu się podejrzliwie.

— Słuchaj, Jasiu, a może ty byś się rzeczywiście położył na parę dni do łóżka? Mam wrażenie, że masz temperaturę.

— Niewykluczone. Ale jeszcze nic dokończyłem mojego raportu. Zbadałem sprawę gospośi. Miałaś rację. Ta młoda dziewczuszka dopiero drugi tydzień pracuje u Garbhrewskich.

— A przedtem?

— Przedtem mich starszą kobietę, która uległa jakiemuś wypadkowi i musiała zrezygnować z posady.

— Masz jej nazwisko?

— Oczywiście. Tego dowiedziałem się bez trudu. Poszedłem po prostu do ZUS—u; Katarzyna Dobrowolska. Mieszka w Brwinowie. Podali mi dokładny adres. Sądzę, że od niej można by się czegoś dowiedzieć o Garbiszewskich, a może i o Kosińskim. Czy chcesz, żebym tam pojechał?

Wadzewski przecząco pokręcił głową.

— Zakatarzony funkcjonariusz nie nadaje się do tego typu misji. Sam odwiedzę panią Katarzynę. Na-przód może jednak porozmawiam w sprawie tych grobów. Dominik Czabanowicz niedwuznacznie dał mi do zrozumienia, że Kosiński uwodził jakąś cudzoziemkę. No, dobra. Daję ci trzy dni odpoczynku. Kuruj się. Widzę przecież, że jesteś nie do życia. Przestań więc tutaj kichać i rozsiewać wirusy. Jedź do domu.

* *

*

Właśnie skończyła obierać ziemniaki, kiedy zadźwięczał dzwonek. Podniosła się z pewnym wysiłkiem, wzięła laskę i pokuśtykała do przedpokoju.

— Kto tam?

— Jestem z komendy milicji. Może pani otworzyć?

Uchyliła drzwi, ale nie spuszczała łańcucha.

— Proszę pokazać legitymację — powiedziała. Dłuższą chwilę oglądała na wszystkie strony dokument— Wyjęła z kieszeni fartucha okulary i przyjrzała się uważnie fotografii. Wreszcie widocznie doszła do przekonania, że wszystko jest w porządku, bo wpuściła niespodziewanego gościa do przedpokoju.

— Pan się nie gniewa, że tyle czasu trzymałam pana za drzwiami, ale jestem sama w mieszkaniu. Córka i zięć w pracy, a dzieci w szkole. Muszę być ostrożna. Różne się tu łobuzy kręcą. Powie, że z milicji albo z gazowni, walnie czymś ciężkim w głowę i koniec.

— Bardzo słusznie, bardzo słusznie — pochwalił Wadzewski. — Ostrożność nigdy nie zawadzi.

— Córki i zięcia nie ma w domu. A pan w jakiej sprawie? Może ja coś im powtórzę?

— Chciałbym chwilę z panią porozmawiać. Chodzi jeszcze o ten wypadek.

— O ten wypadek? — zdziwiła się. — Przecież już wszystko spisali. Tyle osób już mnie wypytywało. Ale jak pan ma życzenie, to mogę i panu opowiedzieć. Proszę, niech pan wejdzie do pokoju. Przepraszam, że ja tak w fartuchu, ale właśnie obiad szykuję.

— Nic nie szkodzi — zapewnił ją Wadzewski. — Niech się pani mną nie krępuje. Ja tylko na chwileczkę.

Zdjęła jednak fartuch, obciągnęła sukienkę, przygładziła włosy i usiadła na wyściełanym krzeselku, opierając łaskę o stolik. Widać było, że odwiedziny oficera milicji sprawiają jej satysfakcję. Nie jakiś tam zwykły milicjant, ale kapitan, elegancki, przystojny mężczyzna. Pulchna, okrągła twarz zaróżowiła się, a ciemne oczy nabrały blasku.

— Więc mam opowiedzieć, jak to było?

— Bardzo proszę.

— No więc to było tak: Przyjechałam z panią z Zalesia do Warszawy wozem.

— Z panią Garbiszewską — upewnił się Wadzewski.

— Ma się rozumie. Przecież u nich kilka lat pracowałam.

— Proszę mówić dalej.

— Przyjechałam do Warszawy, bo musiałam coś tam załatwić w ZUS—ie w sprawie mojej emerytury. Napisali, żeby osobiście, więc musiałam przyjechać. Pani mnie podwiozła na Senatorską. ZUS znajduje się na Senatorskiej numer osiem. Nie wiem, czy się pan orientuje?

— Orientuję się — powiedział cierpliwie Wadzewski.

— To dobrze. A zresztą taki człowiek jak pan to się musi we wszystkim orientować. No więc... •Pani mnie odwiozła i pojechała na miasto załatwiać swoje sprawy. Pani jeździ takim małym fiacikiem. Zgrabny wózek, tylko że dla szczupłych się nadaje. Pani jest szczupła, ale ja to nie za bardzo. Powiadają, że od ciasta tak utylam, ale bo ja wiem, czy to prawda. Lubię słodczyce, a człowiek i. ? może sobie wszystkiego w życia odmawiać.

— Co było dalej? — przynaglił Wadzewski.

— Ano... dalej to było tak. Umówiliśmy się z panią Garbiszewską, że się spotkamy na placu Teatralnym. Miałyśmy pojechać po zakupy do Hali Mirowskiej. I właśnie wtedy, jak przechodziłam z Senatorskiej na plac Teatralny, to jeden wóz potracił drugi i ten drugi wpadł na mnie. Okropnie mi nogę pokiereszował i rękę też trochę. Jeszcze do tej pory mam nogę w gipsie. Bogu dziękować, że się tylko tak o mnie bokiem otarł, bo byłby mnie, cholernik, na miejscu zabił. A może to i dobra taka śmierć? Ani się człowiek obejrzy, a już nieboszczyk i koniec. Po co się długo męczyć?

— To pani tutaj mieszka z zięciem i z córką — powiedział Wadzewski. pragnąc przerwać te rozważania.

— Iz wnukami. Starszy, Marek ma czternaście lat, a Elżunia dopiero dziesięć, śliczna dziewczynka. Szkoda, że nic mogę jej panu pokazać.

— A czy państwo Garbiszewscy odwiedzają czasem panią?

— Pani raz przyjechała, ale się bardzo śpieszyła. Póki człowiek zdrowy, mocny i zdalny do roboty, to o niego dbają, a potem... Ale żalu do nich nie mam. Ładne parę złotych mi dali na otarcie łez, jak to się mówi, a że nie przyjeżdżają..., Każdy zajęty swoimi sprawami, pan Bóg z nimi.

— Długo pani pracowała u państwa Garbiszewskich?

— Kawalek czasu. Chyba z dziesięć lat, a może i lepiej. Dokładnie nie pamiętam.

— Zadowolona była pani z tej pracy? Zamyśliła się. Mogło się zdawać, że usiłuje wydobyć z pamięci obrazy minionych dni.

— Jak by tu panu powiedzieć? Z początku byłam bardzo zadowolona. Państwo Garbiszewscy ludzie grzeczni, kulturalni, akuratnie płacili mi pensję. Nie mogłam się skarżyć... No... potem z tym dzieckiem...

— Z jakim dzieckiem?

— Umarło zaraz po urodzeniu. Pani okropnie to przeżyła, Zmieniła się nie do poznania. To bardzo ciężkie dla kobiety. Podobnie już nie może mieć dzieci. Ale po co ja to wszystko panu opowiadam! Pewnie pana nudzę.

— Przeciwnie — zaprzeczył z ożywieniem Wadzewski. — Takie ludzkie sprawy bardzo mnie zawsze interesują. Potem zapewne już nie było tak wesoło w tym domu.

— Potem zostaliśmy tylko we dwie, pani i ja. Czasami ktoś przychodził w odwiedziny, ale rzadko. Pani unikała ludzi.

— A co się stało z panem Garbiszewskim?

— Wyjechał do Ameryki.

— Do Ameryki?

— Tak. Zaprosił go jakiś kolega.

— I długo pan Garbiszewski przebywał w Ameryce?

— Długo. Ze dwa lata, a może i dłużej. Jak wrócił, to przenieśliśmy się do Zalesia. Pan kupił piękną willę.

— Widocznie dorobił się w Ameryce.

— Tak wychodzi. Przywiózł kupę dolarów. Na nic sobie nic żalowali. Ale panią nic już nie cieszyło. Zrobiła się strasznie pobożna. Chodziła do kościoła, nie tylko w niedzielę, ale i w taki dzień. Mało co rozmawiała. Bywało, że nawet przy obiedzie nie odezwała się do pana ani słowa. To prawda, że wesołości już tam nie było. Mnie się widzi, że to przez dziecko. Tak się, bidula, cieszyła, jak się miało urodzić. I wszystko na nic. Tak to w życiu bywa. U niektórych ludzi bida aż piszczy i dziesięcioro dzieci, a drudzy znowu bogaci, a bezdietni. Jakoś to wszystko nie jest urządzone, jak trzeba. Księża nauczają, że zawsze człowiek powinien godzić się z wolą bożą, ale Pan Bóg też tak czasami dziwnie zarządza. Tiuuu... głupstwa plotę. Niech pan na to nie zważa. Tak się jakoś rozgadałam.

— A czy po przyjeździe pana Garbiszewskiego z Ameryki bywał ktoś u nich, jacyś goście?

— Mało kto. Bardzo rzadko. Ostatnio przed tym moim wypadkiem to ze dwa razy przychodził do pana Garbiszewskiego jakiś zakonnik.

— Zakonnik?

— Tak. W habicie. Brodę miał, wąsy. Oczy to tak mu błyszcząły, że aż strach mnie brał.

— Czy z panią Garbiszewską także ten zakonnik rozmawiał?

— Nie. Jak przychodził, to pani nie było w domu. Pani w ogóle często nie było w domu. Szła do kościoła albo do jakichś swoich koleżanek. Bo ja wiem zresztą... Nie lubię się wtrącać do nie swoich spraw...

— Więc ten zakonnik rozmawiał tylko z panem Garbiszewskim?

— Tylko.

— A o czym oni tak rozmawiali? Wzruszyła ramionami.

— A bo ja tam wiem. Nie mam zwyczaju podsłuchiwać.

— O, o tym to ja jestem najświęciej przekonany, że pani nie ma zwyczaju podsłuchiwać — zapewnił z ożywieniem Wadzewski. — Ale czasami tak się zdarzy, że człowiek zupełnie niechcący coś usłyszy, przypadkowo.

— Czasami... niechcący... — powtórzyła z wahaniem.

— I pani zupełnie przypadkowo posłyszała, jak pan Garbiszewski rozmawiał z tym zakonnikiem.

— No bo kto to widział tak krzyczeć?! — wybuchnęła nagle.

— Krzyczeli?

— Jeszcze jak! Aż się chałupa trzęsła. Szczególnie zakonnik wrzeszczał, jakby go ze skóry obdzierali.

— Klócili się?

— No chyba, że się klócili. Aż mi wstyd było, żeby zakonnik... To całkiem nie pasuje.

— Ale o co im poszło?

— Tego to panu nie powiem, bo nie wiem. Zakonnik mówił o zbawieniu duszy, o wiecznym potępieniu, o świętej spowiedzi. Prosił, żądał, groził. W ogóle się awanturował.

— A pan Garbiszewski?

— Pan Garbiszewski mówił, żeby się tamten uspokoił, że on się nie pozwoli zastraszyć i że się do niczego nie przyzna ani księdzu, ani nikomu innemu. Był bardzo zdenerwowany. Mówił, żeby mu nie zawracać głowy...

— Czy przypadkiem nie przypomina sobie pani, kiedy ostatni raz przyszedł do pana Garbiszewskiego ten zakonnik?

— Dokładnie nie pamiętam, ale chyba na jakie dwa, trzy dni przed moim wypadkiem. A samochód potracił mnie trzynastego listopada. Pamiętam, bo to dzień imienin mojego nieboszczyka męża. Obchodził na Stanisława Kostki.

— To znaczy, że tego zakonnika widziała pani w domu państwa Garbiszewskich albo dziesiątego, albo jedenastego listopada.

— Tak wychodzi. Potem już go nie mogłam zobaczyć, bo mnie nie było. Może jeszcze i przychodził, ale tego nie wiem.

— A pani nie rozmawiała nigdy z tym zakonnikiem?

— Nigdy. Tak patrzył spode łba i łak mu się oczy świeciły, że się bałam odezwać. A on także do mnie nigdy nic nie mówił. Żeby prawdę powiedzieć, to wyglądał jak jaki nienormalny.

— Nie zna pani jego nazwiska?

— Pojęcia nie mam. Przecież mi się nie przedstawił. Pierwszy raz jak przyszedł, to powiedział, że się chce widzieć z panem Garbiszewskim. Spytałam, w jakiej sprawie. Coś tam burknął i zaraz pan wyszedł do niego i zabrał do swojego pokoju.

— Czy pan Garbiszewski nie rozmawiał potem z panią na temat tej wizyty?

— Ani słowa nie powiedział. Widziałam tylko, że jest bardzo zdenerwowany. Chociaż nie. Skłamałam. Prosił, że jak pani wróci, żeby nic nie mówić, że przychodził jakiś zakonnik.

— I pani nie powiedziała pani Garbiszewskiej?

— Już dokładnie sobie nie przypominam. Czasem się człowiekowi coś tak wypśnie niechcący.

— A jak się pani Garbiszewska dowiedziała o wizycie tego zakonnika, to co? Mówiła coś? Pytała?

— Ani słowa. Miała taką minę, jakby to jej nie obchodziło. A w ogóle to ją bardzo mało obchodzi, co się dzieje w domu. Tak Bogiem a prawdą żadnemu mężczyźnie nie życzyłabym takiej żony. Najlepiej by zrobiła, jakby poszła do klasztoru. Tam by się mogła wymodlić za wszystkie czasy. Ależ ja się z panem rozgadałam...

— Czasami miło jest tak sobie z kimś porozmawiać — uśmiechnął się Wadzewski. — Nie zawsze się ma okazję.

— Oj, to święta prawda. Rozmawiać to ja nie mam z kim. Pójść do sąsiadów nie mogę, bo ta noga. Bywają takie dni, panie, że gęby nie ma do kogo otworzyć. Córka z zięciem w pracy, dzieci w szkole, a potem lecą na jakieś zebranie albo do kina. Tyle co w ten telewizor trochę się popatrzę, ale także nie za wiele, bo mnie oczy boją.

— Ja już chyba pani nie będę zabierał czasu — powiedział Wadzewski. — Oderwałem panią od domowych zajęć.

Spojrzała na zegar, wiszący na ścianie.

— Matko jedyna! Ależ to się późno zrobiło! Tylko patrzeć, jak przyjdą na obiad, a tu jeszcze nawet ziemniaki nie wstawione. Bardzo pana przepraszam, ale już muszę do kuchni...

* *

*

Mężczyzna siedzący za biurkiem uśmiechnął się uprzejmie i poczęstował swego gościa papierosem.

— Domyślam się, panie kapitanie, że chodzi panu o tę Amerykankę, która zmarła w naszym hotelu.

Wadzewski skinął głową.

— Właśnie. Chciałem pana prosić o kilka informacji w związku z tą sprawą.

— Proszę uprzejmie.

— Może wice zaczniemy od ustalenia dokładnych dat. Od kiedy Patrycja Axley zamieszkała w waszym hotelu?

— Mam wrażenie, że przyjechała na początku listopada. Chwileczkę. Zaraz połączę się z recepcją—

Rozmowa z recepcją nie trwała długo.

— Pani Axley zamówiła apartament telegraficznie. Przyjechała piątego listopada. Przyleciała wieczornym samolotem z Paryża, gdzie zatrzymała się na parę dni.

—Amerykanka...

— Tak. To znaczy... miała obywatelstwo amerykańskie. Z pochodzenia była Polką. Mieszkała stale w Bostonie. To była zamożna osoba. Podobno wyszła za bardzo bogatego przemysłowca, który zmarł kilka czy nawet kilkanaście lat temu.

— Kiedy zmarła?

Dyrektor rzucił okiem na notatkę sporządzoną przed chwilą, podczas rozmowy z szefem recepcji.

— Zmarła w nocy z dziewiątego na dziesiątego listopada. Serce. Przedawkowanie środków nasennych w połączeniu z alkoholem... Sprowadziliśmy oczywiście pogotowie. Na wszelki wypadek zawiadomiliśmy także i milicję. Bo to w takiej sytuacji nigdy nic wiadomo... Pan zresztą wie najlepiej, panie'kapitanie.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć, w jakich okolicznościach znaleziono zwłoki zmarłej?

— Pokojówka zauważyła, że pani Axley nie opuszcza swojego apartamentu, powiadomiła kierowniczkę piętra, ta zaalarmowała kierownika recepcji. W końcu cała sprawa doszła do mnie. Poleciałem natychmiast zbadać, co to się dzieje i wejść do pokoju. Pani Axley leżała na tapczanie. Nie żyła. To chyba wszystko, co mi wiadomo w tej sprawie.

— Zostawiła jakieś rzeczy? — spytał Wadzewski.

— Oczywiście. Dwie walizki, neseser, ubranie, bieliznę, kosmetyki i przeróżne drobiazgi. Sporządziliśmy szczegółowy protokół i wszystkie te przedmioty znajdują się dotychczas w naszym depozycie.

— Czy oddała coś do sejfu?

— Tak. Osobiście byłem obecny przy wyjmowaniu kosztowności pani Axley. Jakies drobiazgi bez większej wartości, jedynie piękna brylantowa kolia, ozdobiona szafirami, bardzo cenna. Wszystko to także zostało spisane i zabezpieczone. Zapewne rodzina zmarłej zgłosi się po te rzeczy. Ambasada amerykańska została już powiadomiona.

— Czy pan podejrzewa samobójstwo?. Dyrektor przeciągnął dłonią po starannie wyszczotkowanych włosach.

— Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Nie znałem osobiście pani Axley i nic nie wiem, w jakim stanie się znajdowała. Ale przyznać trzeba, że sprawa jest dosyć tajemnicza.

— Tajemnicza? Dlaczego?

— Bo... widzi pan, panie kapitanie, ta kobieta kupiła miejsce na cmentarzu i kazała wymurować grób.

— Skąd pan o tym wie?

— Zostawiła u nas takie oświadczenie, poświadczone przez rejenta, że w zarządzie cmentarza pozostawiła na ten cel odpowiednią kwotę. Uzasadniła to w ten sposób, że chce być pochowana w Polsce i że pragnie sobie zapewnić miejsce wiecznego spoczynku. Nawet gdyby zmarła w Ameryce, ciało jej miało zostać tutaj przetransportowane.

— To rzeczywiście interesujące, co pan mówi. I jeszcze jedna prośba. Czy mógłbym porozmawiać z pokojówką, która sprzątała pokój pani Patrycji Axley?

— Naturalnie.

* *

*

Widać było, że zmęczyła ją ta sprawa. Siedzący naprzeciwko oficer milicji nie wzbudzał w niej najmniejszego zainteresowania. Czekala cierpliwie na pytania, których kolejność zapewne znała już na pamięć.

—Więc pani sprzątała apartament, zajmowany przez panią Patrycję Axley?

— Tak. Ja.

— Czy zauważyła pani coś nienormalnego w zachowaniu się pani Axley?

— Bo ja wiem... Nic specjalnego. Chyba tylko to, że sporo piła, ale ci Amerykanie to w ogóle pijanice.

— A co piła? —zainteresował się Wadzewski.

— Przeważnie whisky albo naszą czystą wyborową. Wynosiłam butelki, to wiem. Zresztą kelnerzy także mogą poświadczyć.

— To zbyteczne. Ja pani wierzę — uśmiechnął się Wadzewski. — Może mi pani opowie, jak to było tego, dnia, kiedy znaleźliście panią Axley martwą.

Wzruszenie ramion.

— Zwyczajnie. Nie wychodziła dłuższy czas. Do południa nie mogłam posprzątać. Początkowo myślałam, że się spała i śpi, ale w końcu zaczęłam się niepokoić i zawiadomiłam, kogo trzeba. Weszliśmy wszyscy i zobaczyliśmy, że koniec, nie żyje.

— Czy pani Axley przyjmowała jakichś gości? Czy ktoś do niej przychodził, mężczyźni, kobiety?

— Nie pamiętam, żeby ktoś do niej przychodził. Chyba nic. A może. i ktoś bywał, jak ja nie miałam dyżuru. Chociaż... chwileczkę. Teraz sobie przypominam, że któregoś dnia był u niej jakiś zakonnik.

— Jest pani pewna, że to był zakonnik?

— No, chyba, że jestem pewna. W habicie, z brodą. Miał tonsurę wygoloną. Zakonnik. Nawet się bardzo zdziwiłam.

— Czy pani widziała tego zakonnika w momencie, jak wchodził do pokoju pani Axley, czy jak wychodził?

— Jak wychodził.

— Może o coś panią pytał?

— Nie. O nic nie pytał. W ogóle ze mną nie rozmawiał. Robił takie wrażenie, jakby się bardzo śpieszył.

— A jak wyglądał? Wysoki? Niski? Gruby?

— Chyba średniego wzrostu. Nie gruby. Raczej szczupły. Chociaż w takim habicie to trudno zmiarkować. Ale nie był tęgi.

— Czy oprócz tego zakonnika odwiedzał ktoś panią Axley?

— Przecież już panu mówiłam, że nie widziałam żadnych gości u pani Axley. Nikt nie przychodził.

— Rozmawiała może kiedyś z panią o takich trochę prywatnych, osobistych sprawach?

— Nigdy ze mną o niczym .nic rozmawiała. Zresztą i czasu na to było niewiele. Pomieszkała tutaj kilka dni i umarła.

— No, właśnie — W2dzewski pokiwa! głową. — Proszę mi jeszcze powiedzieć, czy pani Axley nosiła jakąś biżuterię?

— Wszystkie kosztowności zostały złożone w depozycie hotelowym.

— To wiem. Chodzi mi o co innego. Chciałbym wiedzieć, czy pani Axley nosiła na co dzień jakąś biżuterię.

Pokojówka zastanowiła się.

— Tak... To znaczy... Widziałam u niej na palcu bardzo ładny pierścionek z podłużnym kamieniem. To się chyba nazywa szafir. A oprócz tego nosiła złoty łańcuszek z małym medalikiem. Nie można powiedzieć, żeby się obwieszała biżuterią, jak to często robią takie bogate, co to chcą się pochwalić.

— Czy potem pani sprzątała ten pokój, który zajmowała pani Axley?

— To apartament, proszę pana. Oczywiście, że ja sprzątałam.

— Znalazła pani może jakąś butelkę?

— Butelka była, ale ją milicja wcześniej zabrała do zbadania.

— Po jakiej wódce była ta butelka?

— Po śliwownicy. Nawet się dziwiłam, bo pani Axley nigdy śliwownicy nie piła, tylko albo czystą, albo whisky.

— Przynosiła wódkę z miasta?

— Dokładnie panu nie powiem, ale chyba nie. Zwykle dzwoniła i kelner jej zanosił. To była za wielka dama, żeby sama sobie flachę kupowała na mieście.

— Dziękuję pani — powiedział Wadzewski. — To chyba byłoby wszystko, co chciałem wiedzieć.

* *

*

Porucznik Kaczmarek, był młodym człowiekiem o bystrym spojrzeniu i energicznych ruchach. Patrząc na niego odnosiło się wrażenie, że tym wojskowym sposobem bycia pragnie dodać sobie powagi. Niedawno ukończył szkołę oficerską i był jeszcze na tym etapie służbowej dyscypliny, że nie pozwalał sobie na żadne żarty czy dowcipy.

— To wy pojechaliście do „Forum”, kiedy zmarła obywatelka amerykańska Patrycja Axley? — zapytał Wadzewski.

— Tak jest, obywatelu kapitanie.

— Chciałbym wam zadać parę pytań w tej sprawie.

— Służę wyjaśnieniami. Wszystko zostało przeprowadzone zgodnie z obowiązującymi przepisami.

— Co do tego nic mam żadnych wątpliwość ci — uśmiechnął się Wadzewski. — Powiedzcie mi, czy śmierć Patrycji Axley uważacie za tragiczny wypadek, czy też może za samobójstwo?

Porucznik zawahał się.

— Trudno powiedzieć, obywatelu kapitanie.

Lekarz stwierdził zgon podejrzewając, że denatka zażyła środki nasenne po uprzednim spożyciu większej ilości alkoholu. Tę hipotezę potwierdziła sekcja zwłok. Notowano szereg przypadków śmiertelnych po spożyciu nawet niewielkich ilości preparatów barbiturowych w okresie upojenia alkoholowego.

— Tak, tak... — przerwał trochę niecierpliwie Wadzewski, który w danej chwili nie był nastawiony na wykład z dziedziny medycyny sądowej.

— Na stoliku, obok tapczana denatki znaleziono opakowanie po środkach nasennych — uzupełnił porucznik — a ponieważ sekcja wykazała znaczne stężenie alkoholu we krwi, więc sprawa zupełnie jasna. Albo zrobiła to w celach samobójczych, albo przypadek. Po prostu mogła nie zdawać sobie sprawy z tego, że po alkoholu hic wolno zażywać środków nasennych.

Wadzewski pokiwał głową.

— Tak, oczywiście. Więc powiadacie, że albo wypadek, spowodowany lekkomyślnością, albo samobójstwo.

— Tak sędzę, obywatelu kapitanie.

— A trzecia ewentualność nie przychodziła wam do głowy?

— Trzecia ewentualność?

— No, tak. To znaczy — morderstwo.

— To także braliśmy pod uwagę — powiedział porucznik — ale w danym przypadku właściwie nic nie wskazuje na działalność zbrodniczą. Na wszelki wypadek zostały zdjęte odciski palców, przesłuchaliśmy służbę. Nikt nie widział, żeby—ktoś wchodził do pokoju Patrycji Axley.

— Czy znaleźliście butelkę po wódce?

— Tak. Po śliwownicy.

— Były na tej butelce odciski palców?

— Fachowcy od daktyloskopii nie wykryli żadnych odcisków palców na butelce.

— I to właśnie jest bardzo podejrzane — powiedział Wadzewski.

Porucznik spojrzał zdziwiony.

— Podejrzane? Nie bardzo rozumiem, obywatelu kapitanie.

— Zastanówcie się chwilę. Jeżeli ktoś pije wódkę, musi brać butelkę do ręki. Na ogół nie robi się tego w rękawiczkach. A tu nie znajdujemy na butelce odcisków palców. Można więc przypuszczać, że ktoś te odciski starannie wytarł.

— Ten „ktoś” mógł przecież butelkę po wódce w ogóle zabrać ze sobą — zauważył porucznik.

— Słusznie — przytaknął Wadzewski. — Ale eleganckiemu panu mogło być niezbyt wygodnie paradować z pustą flaszką w kieszeni. Prościej jednym ruchem wytrzeć ją chusteczką. Zresztą może chciał dać do zrozumienia, że denatka piła alkohol? Nie bawmy się jednak w tworzenie najrozmaitszych hipotez. Faktem jest, że w danym przypadku nie wolno całkowicie wykluczyć morderstwa.

—Sprawa oficjalnie została zamknięta. A właściwie nie było żadnej sprawy. Ale jeżeli wy uważacie, że Patrycja Axley została zamordowana, to należałoby natychmiast wszcząć dochodzenie.

— Właśnie tym się od pewnego czasu zajmuję — uśmiechnął się Wadzewski.

* *

*

To był ten sam urzędnik. Wyglądał tylko—jeszcze mizerniej, a jego niechęć do świata i ludzi wzmogła się wielokrotnie.

— Ja już te wszystkie dane podałem komuś z milicji — powiedział matowym głosem, w którym wyczuwało się delikatną wymówkę.

— To prawda — przytaknął Wadzewski. — Ale kolega rozchorował się, a ja chciałbym jeszcze raz dokładnie sprawdzić interesujące nas fakty..

Urzędnik westchnął i spojrzał na szklanke z nie dopitą herbatą.

— Ostatnio, jak już informowałem, mieliśmy dwa przypadki naruszenia grobów. — Sięgnął do> szuflady i wyjął kartkę papieru, pokrytą starannym, pedantycznym pismem. — Kazimierz. Przewłocki, emeryt, lat osiemdziesiąt cztery, pochowany siedemnastego listopada. Naruszenie" grobu w celach rabunkowych nastąpiło w nocy z dziewiętnastego na dwudziestego listopada.

—A ten drugi grób?

— Amerykanka. Pochowana piętnastego listopada. Naruszenie grobu miało miejsce osiemnastego listopada. W obydwu wypadkach zawiadomiliśmy oczywiście milicję.

— Ta Amerykanka nazywała się Patrycja Axley — powiedział Wadzewski.

— Tak Podawałem to nazwisko pańskiemu koledze.

— Słyszałem, że zakupiła, miejsce na cmentarzu i kazała przygotować grób.

Urzędnik pokiwał głową, zdjął okulary i przez chwilę przecierał szkła z pedantyczną starannością—

— To w ogóle dziwna sprawa. Bardzo dziwna sprawa. Robiło to takie wrażenie, jakby przeczuwała swą bliską śmierć. Podobno zmarła na atak serca.

— Na atak serca — przytaknął Wadzewski. Urzędnik przyjrzał mu się podejrzliwie.

— Bo gdyby to było samobójstwo...

— Żadne samobójstwo. Atak serca. Lekarz stwierdził,

— Zdarza się, że lekarze różne rzeczy stwierdzają, ale mniejsza o to. Zmarła, została pochowana jak należy. Jak tylko trochę ziemia osiadzie, to postawi jej się pomnik. Za wszystko zapłaciła. Chciała płacić dolarami, ale przecież to byłoby przestępstwo dewizowe. Musiała zmienić walutę i —zapłacić złotówkami. Dobrze zapłaciła. I napiwki rozdawała hojną ręką. Sam widziałem, jak chciała dać Kosińskiemu tysiąc złotych, ale nie wziął. Taki honorowy.

— Kosińskiemu? — zainteresował się Wadzewski.

— Tak, No, temu grabarzowi, co to się potem powiesił czy też jego powiesili. Wie pan, o kim mówię?

— Oczywiście, że wiem. Rozmawialiśmy przecież z panem na temat jego śmierci. Więc twierdził pan, że Patrycja Axley знаła Kosińskiego.

— Sam widziałem, jak ze sobą rozmawiali.

— Przy jakiej okazji się zetknęli?

— Po prostu Kosiński miał brać udział w budowie zamówionego przez nią grobu. Ale potem jakoś z tego zrezygnował. Już dokładnie nie przypominam sobie, o co tam chodziło. Może źle się czuł? Nie pamiętam.

Wadzewski nie dał poznać po sobie, jak bardzo zainteresowała go ta wiadomość.

— Jakie wrażenie wywarła na patiu pani Axley?

Urzędnik wzruszył ramionami i znowu spojrzał na nie dopitą herbatę.

— No, cóż... Kobieta, jak kobieta. Trzeba przyznać, że elegancka, szykowna i nawet dosyć przystojna, chociaż już nie pierwszej młodości.

— Jak się zachowywała? Czy może była zdenerwowana?

— A wie pan, że rzeczywiście wydawała mi się jakaś zdenerwowana.

— Może rozmawiała z panem na bardziej osobiste tematy?

Urzędnik uśmiechnął się melancholijnie.

— Nic, proszę pana, że mną kobiety nie rozmawiają i nigdy nie rozmawiały na żadne osobiste tematy, nawet wtedy, kiedy byłem młodym chłopakiem, a cóż dopiero teraz. Zresztą me było i okazji do takiej rozmowy. Pani Axley załatwiła wszystkie formalności i na tym koniec.

Wadzewski pokiwał głową.

— Tak, tak, oczywiście. Niech mi pan powie, czy w trakcie rozmowy z panią Axley nie padło przypadkiem nazwisko: Garbiszewski? Konstanty Garbiszewski.

Urzędnik znowu bardzo starannie przetarł okulary.

— Garbiszewski... Garbiszewski... Czy to czasem nie będzie ten kuzyn Kosińskiego, o którego pan wtedy pytał?

— Właśnie o nim mówię — przytaknął Wadzewski. — Mogło się zdarzyć, że pan wymienił to nazwisko, mówiąc o Kosińskim.

— To nie było tak. — Ostrożnie ułożył na nosie okulary i szczupłą, wyschniętą dłonią przeciągnął po czole. — Chwileczkę... Niech sobie przypomnę... Aha, tak... tak... Ale to nie ja mówiłem o Garbiszewskim. To ta Amerykanka spytała mnie, czy na naszym cmentarzu nie ma rodzinnego grobu Garbiszewskich. Powiedziałem, że musiałbym sprawdzić, ale chyba nie ma takiego grobu, a następnie poradziłem jej, żeby się porozumiała z grabarzem Kosińskim, który jest jakimś krewnym pana Garbiszewskiego.

— To było przedtem, zanim pani Axley proponowała Kosińskiemu tysiąc złotych napiwku czy potem?

— Potem. Wydaje mi się, że potem. Chyba na pewno.

Wadzewski zamyślił się i zapalił papierosa.

— Niech mi pan jeszcze powie, jak to było z naruszeniem grobu pani Patrycji Axley?

— Jak już wspomniałem na początku naszej rozmowy, fakt ten miał miejsce osiemnastego listopada, to znaczy w nocy z siedemnastego na osiemnastego.

— Typowe naruszenie grobu w celach rabunkowych?

Urzędnik potrząsnął głową.

— Właśnie, że nie. To trochę dziwna i tajemnicza sprawa.

— Jak mam to rozumieć?

— Bo... niech pan sobie wyobrazi, że ktoś otwierał trumnę, ale nic nie zrabował. Nieboszczka ma na ręku złoty zegarek, pierścioneł, na szyi złoty łańcuszek. Wszystko zostało nic tknięte. Poza tym grób doprowadzono starannie do porządku. Fachowa robota.

— W jaki sposób wobec tego spostrzeżono, że ktoś zaglądał do grobu?

— Te kobiety, które na cmentarzu utrzymują porządek, są na te rzeczy specjalnie uczulone. Jedna z nich zauważyła, że coś : "ę tom zmienilo i zawiadomila nas. Sprawdziliśmy komisyjnie w obecności przedstawicieli milicji, że trumna była przez jakąś niepowołaną osobę otwierana.

— W jakim celu ten ktoś otwierałby trumnę, jeżeli wykluczmy rabunek? Co pan o tym myśli?

Urzędnik wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia. Można by przypuszczać, że ktoś chciał coś sprawdzić. A może chodziło o stwierdzenie tożsamości nieboszczki? Trudno na to odpowiedzieć.

— Rzeczywiście, trudno na to odpowiedzieć — przyznał Wadzewski. — Szczególnie, że istnieje pewne prawdopodobieństwo, że ten, kto w nocy z dnia siedemnastego na osiemnastego listopada otworzył trumnę Patrycji Axley, także już nie żyje.

— Kogo pan ma na myśli?

Wadzewski uśmiechnął się, spostrzegłszy błysk żywszego zainteresowania za świeżo przetartymi okularami.

— Nikogo konkretnego, oczywiście. Tak sobie powiedziałem.

— Powiedział pan, że istnieje pewne prawdopodobieństwo, że ktoś, kto naruszył grób tej Amerykanki, także już nie żyje — nasuwał z niespodziewanym uporem urzędnik.

— Niechże mnie pan nie chwyta za słówka. Być może, że źle się wyraziłem.

— Jest pan człowiekiem bardzo tajemniczym. — W tych słowach wyczuwało się jakby odrobinę urazy.

Wadzewski nie zareagował. Zastanawiał się, czy pracownik zarządu cementarnego nie wie przypadkiem o wiele więcej w tej sprawie, aniżeli pragnie to okazać,

— Słyszał pan rozmowę pani Axley z Kosińskim?

— Nie. Widziałem tylko, jak rozmawiali. Nie interesowałem się tym, o czym mówili. Nie lubię wtrącać się do nie swoich spraw.

— Bardzo cenna zasada — pochwalił go Wadzewski. — Sądzę, że skończymy naszą rozmowę, przynajmniej na razie. Dziękuję panu.

Rozdział VI

Młody organizm stosunkowo szybko odparł atak wirusów. Koźlak nie wykorzystując nawet w całej rozciągłości zwolnienia lekarskiego pojawił się w komendzie.

— Czuję, że masz ochotę wystąpić w finałowych scenach w charakterze primadonny — powiedział z przekąsem Wadzewski.

— Przecież na własne oczy widziałeś, jaki byłem do niczego. Całą komendę zaraziłbym grypą. Nie masz chyba do mnie pretensji?

Wadzewski przyjacielsko poklepał porucznika po plecach.

— Ależ oczywiście, że nie mam do ciebie żadnej pretensji. Żartowałem. Szybko się wykurowałeś.

— Bo ja jestem zwolennikiem medycyny ludowej. Czosnek z gorącym mlekiem, napar z malin, bańki, smarowanie, ewentualnie grzane piwo z korzeniami. Ale mów, co z naszą sprawą. Wspominałeś coś o „finałowych scenach”. Czyżbyś wpadł na trop mordercy?

Wadzewski uśmiechnął się.

— To bardzo prawdopodobne, ale nie uprzedzajmy wypadków. Miałbyś ochotę przejechać się ze mną do „Forum”?

— Nie mam żadnych specjalnych uprzedzeń do tego hotelu. Możemy jechać. A co tam będziemy robić?

— Chciałbym obejrzeć biżuterię oraz różne precjoza zdeponowane w sejfie hotelowym przez panią Patrycję Axky.

— Teraz już te wszystkie drobiazgi nie znajdują się w sejfie — zauważył Koźlak.

— Oczywiście. Wszystkie rzeczy, będące własnością pani Axley, znajdują się w depozycie.

— A może zapoznałbyś mnie chociaż pobieżnie z tym, co działałeś podczas mojej choroby? Sądząc z twojego szampańskiego bomom wnioskuje, że rzeczywiście doprowadzasz sprawę do końca.

— Chyba tak. W tej chwili czekam, tylko na wiadomość z Bostonu.

— Zwróciłeś się do policji amerykańskiej?

Wadzewski uśmiechnął się.

— Jak się zapewne domyślasz, nie zrobiłem tego osobiście. Sprawa została załatwiona za pośrednictwem wszystkich urzędowych instancji. Niezbędne nam są informacje, dotyczące osoby Patrycji Axley. To może nam bardzo pomóc w wyjaśnieniu tajemniczej śmierci pani Axley, jak również Walentego Kosińskiego.

— Łączysz ze sobą te dwie sprawy?

— Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Powiem ci więcej. Już w tej chwili jestem przekonany, że autorem obydwóch zbrodni jest ten sam człowiek. Według mojej teorii te morderstwa są ze sobą ściśle związane.

— Więc uważasz jednak, że Patrycja Axley nie popełniła samobójstwa?

— Wykluczam tę ewentualność.

— I że jej śmierć nie została spowodowana lekkomyślnym zażyciem środków nasennych po alkoholu?

— Także to wykluczam. Patrycja Axley została zamordowana z premedytacją. Ale później pogadamy sobie obszerniej na ten temat. Teraz nie traćmy czasu i jedźmy do „Forum”.

* *

*

Koźlak na chwilę zaniemówił, zobaczywszy wspaniałą brylantową kolbę, ozdobioną przepięknymi szafirami.

— Fantastyczne! Ależ to bomba! Królowa angielska mogłaby coś takiego na siebie włożyć. Ogromna forsa, ogromna.

— Tak, to bardzo kosztowna rzecz — przyznał Wadzewski. — Ale przyjrzyjmy się innym jeszcze drobiazgom pani Axley.

Parę pierścionków, cztery bransoletki, naszyjnik z drobnych rubinów, sznur bursztynów, mały zegarek w stylu „retro”, nakręcany kluczykiem, złoty łańcuszek. W pewnej chwili Koźlak wziął do ręki owalny medalion z kopertą. Otworzył.

— Zobacz. W tym medalionie jest czyjaś fotografia i napis.

Wadzewski spojrział i poczuł, że serce zaczyna mu mocniej bić.

— Znasz tego faceta? — spytał Koźlak.

— Znam — odparł cicho Wadzewski. — Później ci powiem.

Na kopercie zamykającej medalion drobnymi literkami były wygrawerowane słowa:

My dear Konstanty my greatest love of my wife.

* *

*

Garbiszewski był kompletnie oszołomiony. Robił wrażenie człowieka wyrwanego gwałtownie z jakiegoś koszmarnego snu.

— Jak to? Nie rozumiem. Panowie macie nakaz prokuratorski dokonania rewizji w moim mieszkaniu?

— Jak pan widzi, panie inżynierze — powiedział spokojnie Wadzewski. — Prokurator wydał nakaz przeszukania pańskiego mieszkania.

— Ależ to jakieś nieporozumienie! Ja się na to nie mogę zgodzić!... Ja nie pozwolę!...

— Zupełnie niepotrzebnie się pan denerwuje. Czy pan udzieli swojego pozwolenia, czy nie, mieszkanie i tak zostanie przeszukane. Radziłbym nie utrudniać nam czynności służbowych.

Garbiszewski z wolna odzyskiwał panowanie nad sobą.

— No... cóż... Jeżeli nakaz prokuratorski... Wprawdzie zupełnie nie rozumiem, o co chodzi, ale proszę. Niech panowie szukają.

Wspomagani przez sierżanta Dudziaka rozpoczęli swą niemiłą, aczkolwiek w pewnych okolicznościach niezbędną działalność. Pracowali kilka godzin w pocie czoła, ponieważ willą była duża, wyposażona w przeróżne pomysłowe zaprojektowane zakamarki. Nic jednak godnego uwagi dotąd nie znaleźli. Wadzewski czuł ogarniające go zniechęcenie. Liczył na to, że natrafi na jakąś korespondencję czy choćby na luźną notatkę, która ułatwiłaby mu ostateczne przypiecztowanie sprawy.

W pewnej chwili Koźlak wpadł na pomysł, żeby zajrzeć pod obrazy. Inicjatywa ta okazała się niezwykle cenna. W bibliotece doskonała reprodukcja „Trójki” Chełmońskiego zakrywała stalowe drzwiczki, pomalowane na kolor ściany.

— Co pan przechowuje w tej skrytce, panie inżynierze? — spytał Wadzewski.

— Parę drobiazgów, biżuterię żony. — Zostało to powiedziane takim lekceważącym tonem, jakby w ogóle nie warto było mówić na ten temat.

— Mógłby pan otworzyć ten domowy sejf?

— Jeżeli pan sobie życzy... Garbiszewski z widoczną niechęcią wyjął z szuflady biurka klucze i, ociągając się, otworzył skrytkę.

Rzeczywiście kilka drobiazgów, nie przedstawiających dużej wartości: pierścionki z półszlachetnymi kamieniami, trzy złote łańcuszki, dwa zegarki, naszyjnik z agatów połączonych srebrnymi ogniwami...

Wadzewski sięgnął po owalne etui, oprawne w czarny aksamit. Otworzył i osłupiał. Na poduszeczek pokrytej czerwonym atłasem leżała imponująca brylantowa kolia, ożywiona znakomicie dobranymi szafirami.

— Identyczna! — wykrzyknął Koźlak.

Wadzewski zgromił go spojrzeniem, a następnie zwrócił się do Garbiszewskiego.

— Czy pan to także zalicza do „drobiazgów”, panie inżynierze?

Garbiszewski milczał. Nie zdołał opanować drżenia dolnej wargi. Odwrócił głowę.

— Kiedy można się spodziewać powrotu pańskiej żony?”

— Nie mieszajcie do tego mojej żony! — wybuchnął Garbiszewski.

— To znaczy do czego nie mamy mieszać pańskiej żony?

— Nie rozumiem...

Wadzewski zrobił zdziwioną minę.

— Teraz ja z kolei nie rozumiem. Przed chwilą powiedział pan: „Nie mieszajcie do tego mojej żony”. Więc pytam, do czego mamy jej nie mieszać?

Garbiszewski nie odpowiedział. Mocno przygryzł drgającą wargę.

— Panie inżynierze... — mówił dalej Wadzewski— zapraszam pana do naszego wozu— Pojedziemy do komendy, gdzie będziemy mogli spokojnie wszystko sobie omówić. Zabierzemy oczywiście ze sobą ten znakomicie wykonany falsyfikat pięknej brylantowej kolii.

Garbiszewski wytrzeszczył oczy.

— Falsyfikat?!

— A pan cały czas myślał, że przywiózł pan z Bostonu autentyczne brylanty? Nie, panie inżynierze, to wspianiale sporządzona kopia kolii, znajdującej się w depozycie w hotelu „Forum”.

* *

*

Siedział skurczony, wpatrując się z bezmyślnym uporem w podłogę. Ten tak niedawno jeszcze efektowny, pełen życiowej energii mężczyzna zmienił się w oszalamiającym tempie w starego, zrezygnowanego człowieka.

— Nie przyznaję się, do niczego się nie przyznaję — powiedział cicho, ledwie poruszając wargami.

Wadzewski westchnął. Mimo iż zbliżał się do zakończenia całej skomplikowanej sprawy, nie czuł satysfakcji. Nie lubił tego ostatniego etapu śledztwa. Za każdym razem wolałby, żeby kto inny przygwałdził definitywnie winnego.

— Panie inżynierze — powiedział spokojnym głosem — proponuję, żebyśmy obaj nic tracili czasu i nie szarpali sobie niepotrzebnie, nerwów. Zdaje pan sobie chyba sprawę, że w tej sytuacji pański upór do niczego nic prowadzi’.

— Czego pan właściwie chce ode mnie?! — wybuchnął niespodziewanie Garbiszewski. — O co mnie pan oskarża?

Wadzewski zrobił niecierpliwy ruch ręką.

— Powiedziałem to już chyba zupełnie wyraźnie. Jest pan oskarżony o zamordowanie Patrycji Axley oraz swojego ciotecznego brata, Walentego Kosińskiego.

— To zupełnie gołosłowne oskarżenie — Garbiszewski coraz bardziej odzyskiwał pewność siebie. — Żeby człowieka oskarżać o tego rodzaju zbrodnie, trzeba mieć dowody. Rzeczowe dowody.

— Zupełnie słusznie — przytaknął Wadzewski. — Ma pan oczywiście pełne prawo do tego, żeby przedstawić panu konkretne dowody jego winy. Pragnąłem panu oszczędzić ciężkich przeżyć i sądziłem, że będzie lepiej, jeżeli z całym materiałem dowodowym zapozna się pański obrońca, ale jeżeli pan nalega...

— Jestem panu niezmiernie wdzięczny za delikatność uczuć — uśmiechnął się drwiąco Garbiszewski. — Może mnie pan jednak nie oszczędzać. Nie jestem pewien, czy w ogóle skorzystam z pomocy adwokata. Bardzo możliwe, że będę bronił się sam.

Wadzewski bardzo uważnie przyjrzał się mówiącemu. Niejednokrotnie w swej praktyce spotykał się z nagłymi zmianami nastrojów oskarżonych. Nie był zaskoczony reakcją Garbiszewskiego.

— Jak pan sobie życzy, panie inżynierze. Jeżeli pan tak woli, oczywiście mogę panu przedstawić materiał dowodowy, a nawet jest to w pewnym sensie moim obowiązkiem.

Garbiszewski poruszył się niecierpliwie i poprawił krawat. Wyczuwało się, że mobilizuje całą swą energię do odparcia ataku.

— Więc słucham, panie kapitanie, słucham, bardao uważnie.

— O ile mi wiadomo, spędził pan swego czasu parę lat w Stanach Zjednoczonych — powiedział Wadzewski.

— Zgadza się — przytaknął Garbiszewski. — Na zaproszenie mojego przyjaciela wyjechałem do Stanów, gdzie spędziłem około trzech lat

— W Bostonie poznał pan wdowę po bogatym przemysłowcu, niejaką panią Patrycję Axley.

Garbiszewski wzruszył ramionami. Zdawało mu się, że coraz lepiej zaczyna panować nad sytuacją.

— To bardzo prawdopodobne. Nie przypominam sobie jednak tego nazwiska. Podczas takiej podróży poznaje się bardzo wiciu i bardzo różnych ludzi.

— Panie inżynierze — uśmiechnął się Wadzewski — czy nie sądzi pan, że taktyka, jaką pan obrał, jest absolutnie bezsensowna?

— Nie rozumiem.

— Jestem przekonany, że pan doskonale rozumie.. Ale ostatecznie mogę to panu dokładnie wyjaśnić, Otóż Patrycję Axley nie tylko znał pan bardzo blisko, ale w dodatku ukradł pan jej dużą sumę w dolarach oraz cenną biżuterię. Nie dosyć na tym. Istnieje ogromne prawdopodobieństwo, że usiłował pan ją zamordować w jej mieszkaniu w Bostonie.

— To kłamstwo! — wybuchnął gwałtownie Garbiszewski. — To podłe oszczerstwo! Nie pozwolę...

Wadzewski przerwał mu energicznym ruchem ręki.

— Nie sądzi pan chyba, że to, co powiedziałem, jest wyłącznie wytworem mojej wyobraźni. Może to pana zdziwi, ale porozumieliśmy się z policją bostońską. Właśnie wczoraj otrzymaliśmy od nich interesujące nas informacje. Z tych informacji jasno wynika, że Patrycja Axley poznała jakiegoś cudzoziemca, który przyjechał z Europy i w którym zakochała się. Nie są zupełnie pewni jego pochodzenia. Przypuszczają, że

mógł to być Polak, Czech albo Bułgar. Pewnego wieczoru jedna z przyjaciółek Patrycji Axley znalazła ją w stanie agonalnym. Alkohol w połączeniu ze środkami nasennymi. Natychmiastowa pomoc lekarska oraz długotrwała kuracja dały pozytywne rezultaty. Przebywając w szpitalu pani Axley zwierzyła się swej przyjaciółce, że dawała owemu cudzoziemcowi czeki na znaczne sumy. Miała również powiedzieć, że w tajemniczych okolicznościach zniknęła jej cenna biżuteria. Patrycja Axley w owym czasie była osobą szczęśliwą. Przeżywała swoją wielką miłość. Samobójstwo więc nie wchodziło w rachubę. Policja bostońską podejrzewała usiłowanie zabójstwa, ale ponieważ pani Axley nie chciała nikogo oskarżać ani też nie życzyła sobie, żeby policja prowadziła dochodzenie, sprawę umorzono.

Garbiszewski słuchał uważnie, usiłując zachować całkowity spokój.

— Ale co ja mam z tym wszystkim wspólnego? Nie rozumiem.

— Zaraz to panu spróbuję wytłumaczyć — powiedział cierpliwie Wadzewski. — Otóż niech pan sobie wyobrazi, że policja bostońską przysłała nam powiększone odbitki linii papilarnych, pozostawione przez kogoś na szklance, stojącej na... stoliku w pokoju, w którym znaleziono nieprzytomną Patrycję Axley. Dziwnym zbiegiem okoliczności są to odciski pańskich palców, panie inżynierze.

Twarz Garbiszewskiego poszarzała. W jednej chwili stracił całą swą bojową energię. Oczy mu przygasły. Znowu się skurczył i przygarbił.

— To jeszcze nie wszystko — mówił dalej Wadzewski. — Patrycja Axley zmarła w Warszawie, w hotelu „Forum”. I znowu — alkohol w połączeniu ze środkami nasennymi. W jej rzeczach znaleźliśmy ftż złoty medalion z pańską fotografią. Na kopercie tego medalionu były wygrawerowane czule słowa skierowane pod pańskim adresem. Ponadto Patrycja Axley przechowywała w sejfie hotelowym przepiękną brylantową kolię. Identyczną ukrył pan w swoim mieszkaniu, w skrytce pod obrazem Chełmońskiego. Ukradł pan imitację, kopię brylantowej kolii. Nie zna się pan na brylantach, panie inżynierze. Ja co prawda także się nie znam, ale trochę się orientuję. Chociaż ów falsyfikat został tak znakomicie spreparowany, że można było się pomylić. Ale zostawmy te jubilerskie dygresje.

Patrycja Axley przyjechała do Warszawy, pragnąc pana odszukać. Nie było to rzeczą łatwą, ponieważ pan ma zastrzeżony telefon. Przypadkowo w zarządzie cmentarza spotkała się z pańskim krewnym, Walentym Kosińskim. On jej powiedział, gdzie pan mieszka i poda! numer pańskiego telefonu. Pan nie spodziewał się tej wizyty. Był pan pewien, że Patrycja Axley nie żyje. Poczul się pan zagrożony. Jakkolwiek by nie było, ukradł pan jej cenną biżuterię i naciągnął na znaczną sumę pieniędzy. To groziło skandalem oraz sprawą prokuratorską.

Postanowił pan działać, ratować się. Odwiedził pan swoją byłą przyjaciółkę w hotelu i, udając zapewne skrucę, poczęstował pan ją wódką z dodatkiem proszków nasennych. Umarła. Zdawało się, że będzie pan miał spokój.

Nie przewidział pan jednak niespodziewanej komplikacji. Walenty Kosiński podejrzewał pana o popełnienie tej zbrodni. Będąc fanatykiem religijnym, usiłował nakłonić pana do przyznania się do winy, aby w ten sposób uratować pańską duszę. Stawał się coraz bardziej natarczywy i coraz bardziej niebezpieczny. Nie mógł pan wiedzieć, co mu powiedziała Patrycja Axley. Odwiedzał ją przecież w hotelu. Zdecydował się pan unieszkodliwić swego ciotecznego brata...

Umówiliście się na cmentarzu. Być może, że Kosiński chciał nad grobem Patrycji Axley uzyskać od pana przyrzeczenie, że odda się pan w ręce władz. Nic zawahał się nawet przedtem otworzyć trumnę Patrycji Axley, by zdobyć niezbite dowody pańskiej winy.

A pan popełnił jeden zasadniczy błąd... O ile w hotelu wytarł pan bardzo dokładnie butelkę po śliwownicy, o tyle zapomniał pan tego zrobić z butelką po wódce, pozostawioną na cmentarzu. Znaleźliśmy na niej odciski pańskich palców. Jak więc pan widzi, wszystko to łączy się w logiczną całość. A teraz słucham, co pan ma do powiedzenia.

Garbiszewski ukrył twarz w dłoniach.

